płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · V · 1986

9

Fot. Ryszard L. Borowy

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

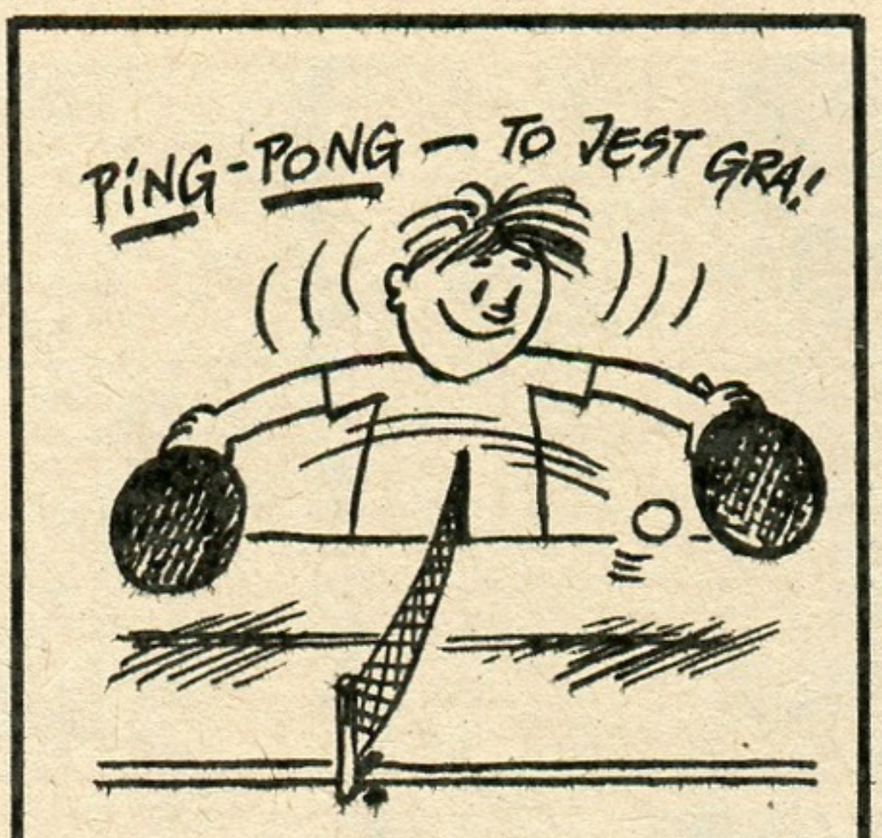

Sam jestem swoim przeciwnikiem.

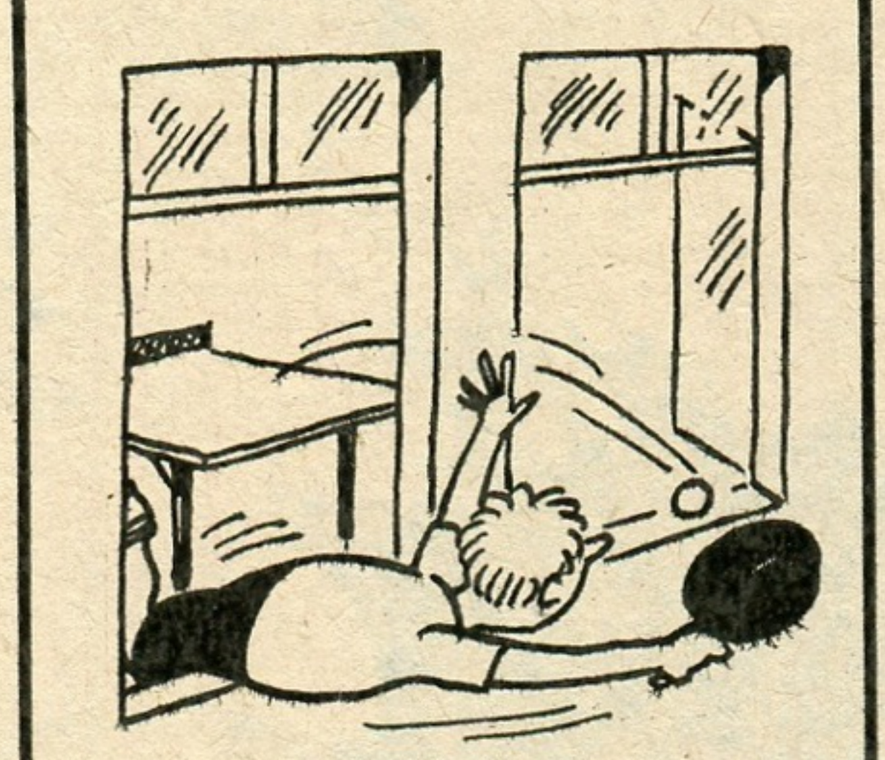

Dla mnie nie ma piłki „nie do odbicia"!

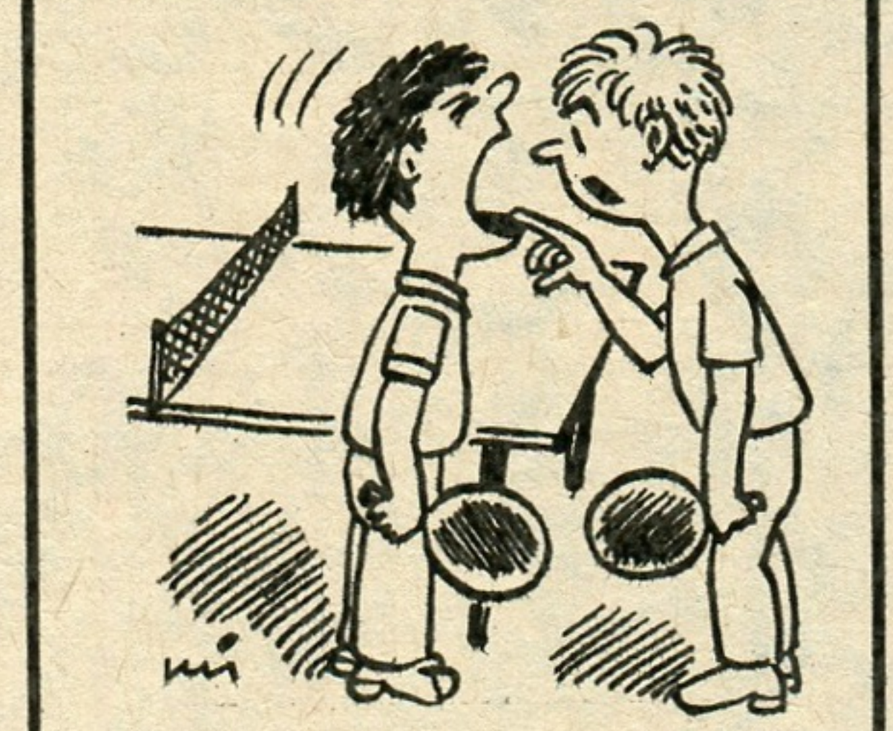

Przecież gdzieś musi być ta piłeczka...!

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

NAJBARDZIEJ poczytną książką na świecie jest „Księga rekordów Guinnessa". Powstała ona w 1955 roku w Wielkiej Brytanii. W ciągu 30 lat została przetłumaczona na 26 języków. Osiągnęła łączny nakład 53 mln egzemplarzy. Ostatni, jubileuszowy nakład wyniósł 4 mln egzemplarzy.

Księga informuje o przeróżnych rekordach (np. najwyższa kobieta, najniższy lub najgrubszy mężczyzna, najdłuższy most, rekordy w jeżdżeniu na rowerze, w jedzeniu pączków, w opowiadaniu dowcipów itp.)

Oto kilka naj... zaczerpniętych z tej książki.

●

NAJWĘŻSZA ulica na świecie znajduje się we włoskim miasteczku Citta di Piave. Ulica nazywa się Bocododo, ma 20 m długości i 52,3 centymetrów szerokości.

●

NAJTŁUSTSZY kot, wabiący się Tids, mieszka na stacji kolejowej w Wielkiej Brytanii. Żywi się licznymi obfitymi poczęstunkami od pasażerów. Kot waży 13,5 kg, a w „talii" mierzy aż 75 cm.

NAJDŁUŻSZY mecz szachowy rozpoczął się w 1926 roku i... trwa do tej pory. Za pośrednictwem telefonu rozgrywają go dwaj uparci szachiści z Wielkiej Brytanii, jeden pochodzi z Londynu, drugi z Glasgow. Jako młodzi chłopcy umówili się, że każdy w ciągu roku wykona tylko jeden ruch. Niektórzy twierdzą, że partię tę dokończą dopiero wnukowie upartych szachistów.

●

NAJDŁUŻSZĄ na świecie ławkę mają mieszkańcy japońskiego miasteczka Obihiro na wyspie Hokkaido. Ma ona ponad 400 metrów długości i jednocześnie mogą na niej siedzieć 1282 osoby. Przy budowie tej ławki-giganta pracowało społecznie 770 mieszkańców przez 3 tygodnie.

●

NAJWIĘKSZĄ na świecie krzyżówkę opracował Belg, Roger Buckaret. Ma ona 12,5 m długości, a odgadnąć trzeba 25 tys. słów.

Poprzedni rekord należał do dwóch Francuzów, których 5-metrowa krzyżówka składała się z 500 tys. kwadracików i liczyła 18 tys. słów.

Nasza okładka:

Maj pełen kwiatów

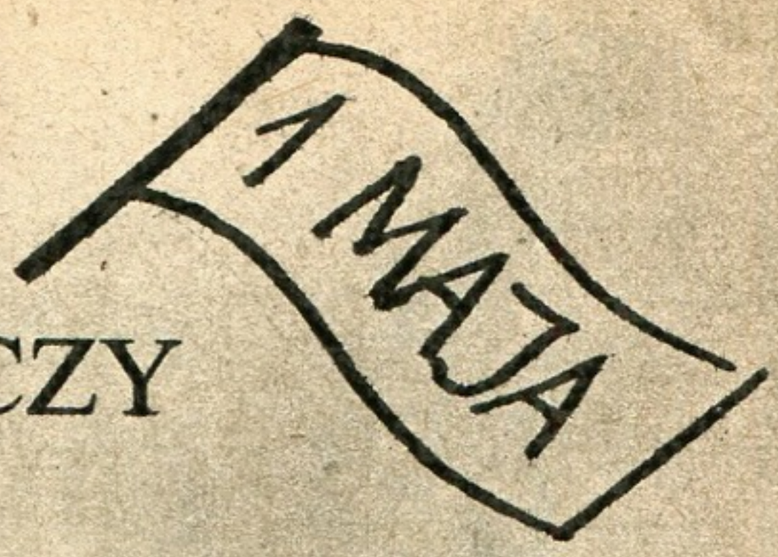

CZERWIENIĄ W OCZY

Śniło mi się, że stoję nad Wisłą.
Zmierzch opada. Coraz to ciemniej.
U nóg rzeka mi pełznie — sina.
Podszedł: „Bardzo przepraszam pana.
Pan mnie sobie nie przypomina?"
Błysk radości rozświecał mu czoło
omroczone.

„Czas prędko leci".
Cień mu przemknął się pod oczyma.
Gdzieś daleki huk szedł od miasta.
„Na Bankowym. W dwudziestym trzecim".
I wciąż ze mnie nie spuszczał spojrzenia.
Znów pojaśniał. Coś przypomniał.
„Na Bankowym. Na Teatralnym.
Szliśmy ramię obok ramienia".

Wtem jakby czerwienią w oczy:
Śpiewaliśmy razem. Pamiętasz?
„Śmiało do boju! Naprzód, Warszawo!
Na barykady, ludu roboczy!..."
mgła wiślana, ciemna niepamięć.
„Pan mnie sobie nie przypomina,
co?..." I sen się urwał.

Stanisław Ryszard Dobrowolski
Rys. Małgorzata Zachorowska

ZWYCIĘSTWO

Samochody korespondentów wojennych posuwały się wolniuteńko szeroką jezdnią Berlinerstrasse w dzielnicy Berlin-Pankow kierując się w stronę Alexanderplatz.

Tutaj już od wczoraj panował spokój. Oddziały szturmujące ten rejon miasta ruszyły naprzód wdzierając się na Alexanderplatz i dalej. Na Berlinerstrasse i na sąsiednich ulicach z okien domów zwieszały się żałośnie, zatknięte na kijach od szczotek do zamiatania podłóg, białe prześcieradła, niemrawo łopocące na wietrze znaki kapitulacji.

W ulicy było prawie pusto, tylko przed bramą jednego z domów stała nieduża gromadka kobiet i dzieci, skupiona wokół niemłodego już mężczyzny w czarnym kaszkiecie, jakie nosiło tu wielu robotników, wskazującego wyciągniętym ramieniem na coś tam po przeciwnej stronie ulicy. Spojrzenia otaczających go biegły za zataczającym w powietrzu półkola ruchem jego ręki. W ścianie domu obok szeroko rozwartej bramy czerniła się wielka wyrwa, ślad po eksplozji artyleryjskiego pocisku.

Porucznik Majewski dał znak kierowcy, by zatrzymał wóz. Samochód gwałtownie skręcił ku chodnikowi ulicznemu i z piskiem opon stanął. Zaraz zatrzymał się o kilkanaście metrów dalej i jadący w ślad za nim drugi. Wyskakiwali na jezdnię rozprostowując ramiona i obciągając płaszcze, poprawiając zatknięte z fantazją na ucho rogate czapki. Rozglądali się z zaciekawieniem dookoła po opustoszałej ulicy.

Chodnik zasypany był odłamkami muru i potłuczonym szkłem. Z rozbitej wystawy krawieckiej pracowni spoglądał bezmyślnie na stojących obok samochodów oficerów manekin we fraku i w cylindrze, w pretensjonalnie zarzuconym na ramię, owija-

jącym szyję białym szalu. W parterowym oknie na lewo ukazała się na moment sylwetka kobiety i zaraz znikła, nim Majewski zdążył uchwycić ją spojrzeniem. Nie interesowała go zresztą.

Podniósł głowę do góry. Schmurzone tego dnia od samego rana niebo miało tu kolor piwa. Nad dachami snuły się leniwie smużki dymów. Ponad domami i chmurami ciężko zwieszającymi się nad ulicą niósł się głuchy łoskot przelatujących w górze samolotów, które tutaj nie zwracały już niczyjej uwagi. Leciały ku centralnym dzielnicom miasta, ku Unter den Linden i Brandenburgertor, ku Tiergarten, by teraz tam robić swoje. Tu, dla Pankow, wojna już się skończyła.

Większe zainteresowanie budził nie ustający grzmot eksplozji dolatujący od Alexanderplatz i od centrum miasta, gdzie wciąż jeszcze toczyły się zacięte walki — nieprzerwany łomot, huk jak gdyby bijących w gigantyczne kowadła młotów podziemnej kuźni, głuchy i niepokojący. Wybuchy bezprzestannie zrzucanych tam lotniczych pocisków, ciężkich bomb, zawzięta artyleryjska kanonada, jazgot karabinów maszynowych — wszystko to zlewało się w długie, monotonne dudnienie, wywołujące przykry wewnętrzny dreszcz, uczucie, jakiego się pewnie doznaje podczas wstrząsów skorupy ziemskiej. Tak przynajmniej się wydawało tam na Berlinerstrasse w dzielnicy Berlin-Pankow stojącemu na jezdni obok samochodu i rozglądającemu się dookoła porucznikowi Majewskiemu.

Stał obok samochodu, tuż koło chodnika, przymknąwszy oczy i słuchał tej osobliwej, groźnej symfonii, coraz to wybuchającej potężnymi odgłosami przewalających się wśród ścian ulic grzmotów wiosennej burzy. Starał się stłumić w sobie uporczywą chęć współczucia dla tamtych, którym wypadło znaleźć się pod gorącą ulewą żelaza, w ogniu i dymie śmiertelnego boju o ostatnie pozycje desperackiej obrony stolicy zbrodni, miasta-symbolu panoszącego się po ziemi zła.

Widział, jakby tam był, szturmujących je żołnierzy; widział, jak biegną z błyskawicami w oczach po schodach płonącego gmachu, dźwigając ciężki karabin maszynowy, i jak ustawiają go w oknie, ocierając pot zalewający im oczy, piekący pod powiekami. Za chwilę zapłonie ogień u rozgrzanej lufy karabinu i suchy trzask wystrzałów zleje się z hukiem, jaki targa ulicą, potrząsa ścianami domu. Eksplozje pocisków pracującego na końcu ulicy działa drą na strzępy powietrze, ogłuszają. (...)

Na sąsiedniej przecznicy po drugiej stronie Berlinerstrasse dopalały się zabudowania wielkiej, widać było, fabryki. Od czasu do czasu nad nagimi resztkami stropów zjawiały się czerwone języki płomieni. Coraz to waliły się ściany budowli wyrzucając całe fontanny iskier, wystrzeliwując ponad ulice złociste fajerwerki.

Znów nad chmurami podniósł się dychawiczny jęk silników przelatujących ciężkich maszyn i eskortujący bombowce świst myśliwców. Coraz to nowe eskadry nalatywały na miasto.

— A to im dogadzają!

Pucołowata gęba kaprala Rudawy, kierowcy samochodu porucznika Majewskiego, rozszerzyła się w uśmiechu. W oczach zamigotały mu wesołe iskierki. Zacierał z ukontentowania ręce.

Głupiec — zauważył w myśli porucznik. Miał wielką ochotę zwymyślać kaprala, ale się zaraz opamiętał. Nie było przecież za co. Jeszcze przez chwilę szukał uzasadnienia dla uczynienia zadość natarczywej chętce, nie znalazłszy go wszakże, dał spokój nierozsądnemu zamiarowi.

Zmienił zamysł.

— Tam ludzie giną — prawie półszeptem miękko, z akcentem ubole-

wania próbował perswadować kierowcy wyciągając rękę w kierunku, skąd dobiegały pomruki kanonady. Schmurzony wpatrywał się bacznie w kaprala.

— No to co? — rzucił obserwujący od paru minut Majewskiego porucznik Ziółek. — Na wojnie...

— ...jak to na wojnie. À la guerre comme à la guerre. Co?... To chciałeś zacytować?

Powiedziawszy to porucznik odwrócił się plecami do kolegi, z wyraźną dla niego abominacją wzruszywszy tylko ramionami. W milczeniu spoglądał na chodnik. Na samym jego skraju, tuż nad rynsztokiem, na kupie gruzu leżała wielka dziecinna lalka. Dziewczynka z masy plastycznej miała włosy koloru żytniej słomy, jakie często widuje się u wiejskich dzieci w okolicach Płońska i Raciąża, skąd pochodził Majewski. Długie, cienkie warkoczyki przeplecione czerwonymi wstążeczkami, zawiązanymi u końca warkoczyków w kokardki i zwieszające się u ramion dziecka okalały jego zabrudzoną twarzyczkę. Dziecko było bez jednej ręki. Miało podartą sukienkę i dużą, rudą plamę na lewej piersi. Martwe spojrzenie szeroko rozwartych, wielkich, szklistych oczu zwracało do góry ku zadymionemu niebu.

Majewski schmurzył się jeszcze bardziej. Nerwowo łamał palce rąk obciśniętych skórzanymi rękawiczkami.

Tymczasem wokół stojących obok samochodu oficerów powoli jęli się gromadzić coraz to śmielej podchodzący ku nim mieszkańcy, jak można było sądzić, sąsiedniego domu — dzieci, a za nimi kobiety. Na koniec dołączyli do nich, do ciekawskiej gromadki, dwaj mężczyźni, sądząc na oko, dobrze już chyba po sześćdziesiątce. Wyglądali na robotników. Za takich brał ich w każdym razie rozglądający się ciągle dookoła porucznik Majewski.

Zrazu przyglądali się w milczeniu obcym oficerom z oczywistym zaciekawieniem. Wreszcie jeden z robociarzy wysunąwszy się troszkę ku przodowi zapytał uchylając czapki:

— Jesteście Rosjanami?

Majewski zaprzeczył ruchem głowy. Chwilę jak gdyby się zastanawiał, po czym wycedził chłodno:

— Nie. Jesteśmy Polakami... Rozumiecie?

— Tak.

Robotnik na moment obrócił się do stojących za nim kobiet i coś tam do nich zaszeptał. Kobiety cofnęły się gwałtownie o kilka kroków jak gdyby czymś spłoszone. W ich oczach, w gestach rąk, którymi pośpiesznie obciągały chustki na piersiach, dokoła szyi, nietrudno było dostrzec strach.

— No, cóż to? — Majewski postąpił dwa kroki. — Boicie się? Co? Czego się boicie?... Wojna już się dla was skończyła.

— Hitler kaput! — wrzasnął zza pleców porucznika kapral Rudawa.

Zbici w gromadkę Niemcy stali teraz nieporuszeni, milcząc, bardzo uważnie śledzili każdy ruch oficerów. Powoli uległość, psia pokora jęła zastępować lęk w oczach kobiet. Gromadka wyraźnie poczęła się rozluźniać.

Oficerowie przy samochodach także nic nie mówili.

Może z pół minuty, może nawet całą minutę trwało obopólne milczenie.

Tak wzajemnie badają się spojrzeniami dwa stada kundli spotkawszy się przypadkiem w pustej ulicy — pomyślał Majewski spoglądając teraz raz na tamtych, raz na swoich kolegów.

Raptem ze środka gromadki odezwała się jedna z kobiet:

— Tam na Eisengasse, gdzie się pali, jest dużo papierosów, dużo tytoniu — wyszarpnęła ze ściśniętego gardła.

— Tak, tam jest dużo tytoniu — jak echo powtórzył za nią stary robociarz. Na jego wąskich, zsiniałych wargach zatańczył zagadkowy uśmieszek.

— Podjedźmy tam, panie poruczniku, co nam szkodzi — usłyszał za plecami kaprala Rudawę Majewski. — Zobaczymy, co?

Porucznik bez słowa obróciwszy się na pięcie wsiadał do samochodu, podniesioną ręką przywoływał kierowcę.

— Zawracaj. Jedziemy do Wandlitz — rozkazywał chłopcu, gdy ten zasiadł już za kierownicą.

Kapral zdawał się nie rozumieć, co się do niego mówi. Ze zdziwieniem spoglądał na oficera. Czekał.

— Słyszysz, co mówię? Zawracaj!

Stanisław Ryszard Dobrowolski
(Opowiadanie z książki „Kto ty jesteś")
Rys. Mieczysław Kwacz

TU OJCZYZNA MOJA

Tu jest mój dom. Tu moje są domowe ściany:
Aleje Ujazdowskie sadzone lipami,
po których za wierszami chodzę wieczorami.

Tędy nas kiedyś z bratem matka prowadzała
za rękę. Tu fabryka lokomobil stała
— i ojciec u śrubstaka. Ursus. Tak się zwała.

Tu chodziłem do szkoły. Do gimnazjum Reja.
Tu pierwsze serca bicia, tu pierwsza zawieja
myśli. Tu jest kolebka moja i nadzieja,

że — kto tam wie? — non omnis moriar*. Oto moja rzecz ludzka w snach, w radościach, w burzach, w niepokojach.

To sens mojego życia. Tu ojczyzna moja.

---

* po łacinie — nie wszystek umrę

DZIECIŃSTWO

Uczepiwszy się matczynej spódnicy,
maszerowałem śmiało
przed siebie,
nie oglądając się na nic.

Ślady moich maleńkich stóp
można oglądać do dzisiaj
nad Wisłą
w Warszawie na Siekierkach.

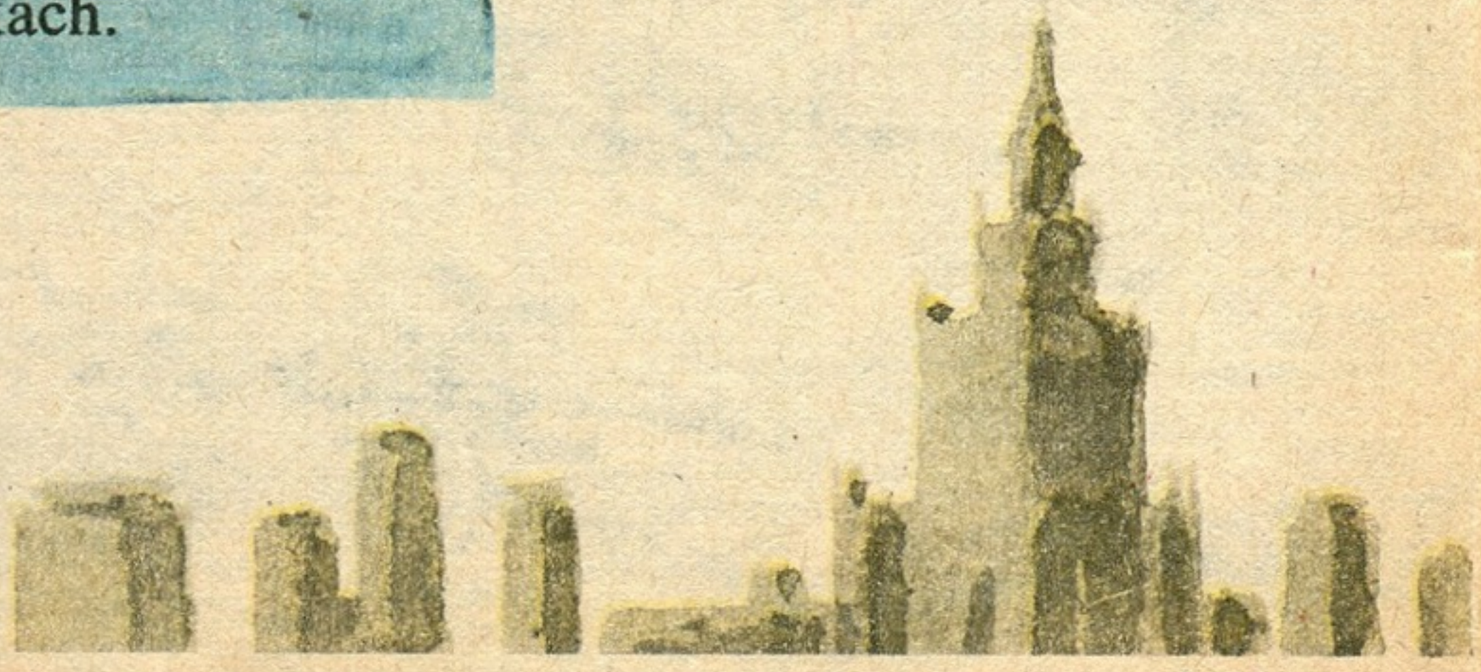

WARSZAWSKI WRÓBEL

Podnajemca tutejszych strychów,
szary, ruchliwy, drobny
— jakżeż można by go nie lubić,
gdy tak bardzo do nas podobny.

Ni słowiczy ma charakter, ni kruczy,
lekkoduch, próżniak i fantasta,
całe ptasie życie przećwierka,
ale szyję da za swe miasto.

Wiersze Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego
Rys. Przemysław Woźniak

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Czy znacie piosenkę: „Nad Wisłą wstaje warszawski dzień...”? Albo inną, zaczynającą się od słów: „Być może gdzie indziej są ziemie piękniejsze...”, której refren powtarza następujące zdanie: „Być może gdzie indziej..., lecz sercu jest droższa piosenka nad Wisłą i piasek Mazowsza”.

Znacie te utwory na pewno. A czy wiecie, kto jest autorem tych tekstów, które wraz z muzyką tak głęboko zapadły nam w pamięć? Otóż te powszechnie dziś znane słowa wyszły spod pióra Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego.

Kim był, a właściwie — ponieważ zwykło się mówić, że człowiek żyje tak długo, jak długo

żyją jego dzieła — kim jest i będzie w naszej kulturze, literaturze Stanisław Ryszard Dobrowolski? Historycy literatury polskiej określają go jako poetę i prozaika. Urodził się dość dawno, bo jeszcze na początku naszego stulecia, dokładnie 14 marca 1907 roku. Jego rówieśnikami byli więc: Julian Tuwim, Konstanty Ildefons Gałczyński, Jan Brzechwa, Władysław Broniewski, Jarosław Iwaszkiewicz — postacie znane i sławne w dziejach kultury polskiej; ludzie, których dawno nie ma już wśród nas. Spośród nich wszystkich Stanisław Ryszard Dobrowolski żył najdłużej, bo był z nami jeszcze w ubiegłym roku (zm. 27.XI.1985). Najdłużej zatem dane mu było oglądać to wszystko, co od lat składa się na dzieje i losy Polaków, a więc na tworzywo, które zawsze czynił materią swojej twórczości.

Pisał piękną, prostą polszczyzną. Pełną literackiego kunsztu i wyrazistości. Swoje życie związał z Warszawą i z Mazowszem. I mimo że pisał dla dorosłych, do jego poezji możecie sięgnąć i Wy i Wasi rówieśnicy, bo jest ona zrozumiała dla każdego człowieka, małego i dużego, zrozumiała dla tych, którzy kochają ludzi, swoją ojczyznę, nasz język, słowem — tych wszystkich, którzy życie kochają tak bardzo, jak je kochał i opiewał Stanisław Ryszard Dobrowolski.

ŁZA

co się zatrzymuje na rzęsach,
bywa iskrą.
Łza,
co spływa po policzku,
może wywołać pożar.

To był jeden z ostatnich wierszy poety. Zamieścił go tygodnik „Kultura". Natomiast pierwsze utwory poetyckie Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego ukazały się drukiem w 1926 roku, gdy miał 19 lat, w dwóch warszawskich gazetach /„Robotnik" i „Głos Prawdy"/. Swój debiutancki tomik, pt. „Pożegnanie Termopil", wydał w 1929 roku. Od tej chwili pisał i wydawał swoje wiersze, poematy, powieści, opowiadania przez ponad pół wieku, do ostatnich dni życia.

Elżbieta Brzoza

PTAKI

Usiadła na sośnie sowa:
o, to mądra głowa!
Przykucnął w bzach słowik;
będzie w nocy nowik.
Rozbiegły się po polu gawrony;
zejdą szrony na łan zielony.
A teraz przyjrzyj się ziębie.

— Nie spojrzę,
bo się przeziębię!”

Stanisław Grochowiak

Rys. Maria Sołtyk

TĘCZA

Nad polami, nad lasami
brama jasna i wysoka,
jakby milion dzikich pawi
w łuk się splotło pod obłokiem.
Zobacz, popatrz, ile barw
połączonych w pełnym słońcu
i malutki złoty staw,
w którym się kolory plączą...

Kazimierz Śladewski

MAJ

Lecą białe płatki...
Czy znów śnieg prószy?

To wiatr liczy kwiatki
na polnej gruszy.

Alicja Patey-Grabowska

DLACZEGO?

Rzeczywiście przyszedłem do domu trochę później.

Mama zaraz w krzyk:

— To jest już nie do wytrzymania! Co za niegodziwy chłopak! Nic dla niego nie znaczy, że ja się zamartwiam, że mogę się ciężko rozchorować, dostać ataku serca! Co go to obchodzi. Ale poczekaj. Przyjdzie ojciec — to mu wszystko powiem, niech się dowie, jak dbasz o moje zdrowie, jaki jesteś dla mnie dobry!

Milczałem. To nie tak. Czułem się bardzo skrzywdzony. Byłem na angielskim i zostałem trochę dłużej, żeby jeszcze raz wysłuchać nagrania. Za parę dni klasówka z anglika...

— Gdybym miał własny magnetofon i nagrania — na pewno bym nie wrócił później — pomyślałem sobie, ale niestety, pomyślałem na głos.

Mama rozgniewała się jeszcze bardziej.

— Aha! To znaczy, że dopóki nie kupimy ci magnetofonu za kilkanaście tysięcy, których zresztą nie mamy, ty będziesz mi po prostu robił na złość!

Tego było już za wiele.

Kiedy postawiła talerz z zupą na stole, odsunąłem go demonstracyjnie.

Nic nie powiedziała, tylko poszła do siebie i zaczęła płakać. Mama zawsze, jak się już wyzłości zaczyna płakać. Ciekawe, co by to było, gdybym ja się tak zarykiwał z byle powodu. Byłby to prawdziwy dom łez.

Było mi jej nawet żal, bo strasznie nie lubię, jak mama płacze. Czuję się wtedy jak zbrodniarz. Ale było mi też trochę żal siebie. Niesłusznie na mnie krzyczała, a poza tym byłem głodny, aż mi w brzuchu burczało. Jedzenia jednak nie ruszyłem.

Kiedy wrócił tata, mama oczywiście poskarżyła się na mnie.

Tata nic nie powiedział, wysłuchał w milczeniu, potem zjadł obiad i dopiero wtedy zawołał mnie do siebie.

Usiadłem naprzeciwko niego zupełnie spokojny. Wiedziałem, że racja była po mojej stronie i że on mnie zrozumie. Co mężczyzna — to mężczyzna.

Wysłuchał cierpliwie, nie przerywając.

— Mama jest bardzo niesprawiedliwa. Nawet nie czeka, aż jej wszyst-

ko opowiem, tylko od razu robi awanturę. Tak jest za każdym razem — dodałem na koniec.

— A więc zdarzało się to już przedtem — powiedział.

— Uwierz mi, tatusiu, że nigdy nie było w tym mojej winy. Czasami po prostu dłużej czekam na autobus, a czasem muszę zostać po lekcjach... Mieszkamy tak daleko. Przecież mama wie o tym. Dlaczego od razu krzyczy!

Ojciec uśmiechnął się.

— Masz trochę racji, ale tylko trochę. I ona ma też swoją rację. Rację matki. Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, co to dla niej znaczy, jeżeli któryś z nas nie wraca na czas do domu. Ona tu czeka i wyobraża sobie różne rzeczy.

— Ale przecież ja nie jestem małym dzieckiem, które trzeba wszędzie prowadzić za rączkę. Mam już dwanaście lat. Znam to miasto od urodzenia. I chodzę po ulicach bardzo uważnie.

— To wszystko prawda, synku. Znam twój rozsądek i wiem, że nie masz zwyczaju urządzać sobie biegów przez jezdnię przy czerwonym świetle. I wiem, że masz różne nieprzewidziane zajęcia... Ale ona cię bardzo kocha. A kiedy się kogoś kocha, to się o niego niepokoi i martwi, żeby mu się coś złego nie stało. Przecież ty się też o nią martwisz, prawda?

— I o ciebie też, tatku — powiedziałem. — Tylko, kiedy was nie ma trochę dłużej, to nie krzyczę na was, że musiałem tak długo czekać. Tylko się cieszę.

Ojciec roześmiał się.

— No, na ogół to starsi gniewają się na dzieci, a nie odwrotnie... Ładnie by to wyglądało, gdybyś tak zaczął na nas krzyczeć.

Teraz śmieliśmy się obaj.

— Sądzę, że się dogadaliśmy — powiedział. — A teraz biegnij odgrzać sobie obiad. — Aha! — dodał jeszcze. — Najlepiej może zawsze mów mamie, że przyjdziesz te pół godziny później. To będzie twoja rezerwa czasowa, a jej oszczędzisz lęku o siebie.

Wieczorem, kiedy byłem już w łóżku, mama przyszła do mnie i pocałowała na dobranoc. Potem otuliła mnie kołdrą i wyszła.

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Wanda Orlińska

CHLEB

Gdybym był piekarzem,
zrobiłbym, co trzeba:
tylu jest przecież głodnych,
tylu na świecie — bez chleba.

Upiekłbym wielki bochen,
od słońca większy trochę,
pachnący i gorący,
świeżutki i chrupiący.

Od Indii aż do Chile
wszyscy by syci byli:
stary i biedny człek wszelki,
i dzieci, i małe wróbelki.

To byłaby dopiero
warta pamięci data:
Dzień, w którym nikt nie był głodny.
Najpiękniejszy dzień w historii świata.

Gianni Rodari
Tłumaczyła Hanna Ożogowska

NASZA ZIEMIA

Piękna jest nasza ziemia,
szeroki nad nią błękit,
piękne są wsie i miasta,
gdzie ludzka praca tętni.

Piękne są świeże łąki
skąpane mgłą przed świtem,
piękne kominy fabryk
dymem jak mgłą spowite.

Piękne są górskie szczyty,
radosny szum strumienia,
piękny jest trud człowieka,
co życie w lepsze zmienia.

Piękny jest piec hutniczy,
pnący się ku obłokom,
piękna jest nasza ziemia,
radosny w świecie pokój.

Stanisław Aleksandrzak

Rys. Krzysztof Demianiuk

Nie zapalając latarki, skradał się wzdłuż ściany korytarza. Wnet znalazł się nad wodą. I tu czekała go pierwsza niespodzianka: nie było gumowego pontonu. Kilka razy krok za krokiem przemierzał skraj wody. Niestety, za każdym razem daremnie. Targnął nim lęk. Zastanawiał się, co mogło się stać. Kto zabrał ponton? A może Łukasz nie zostawił go w umówionym miejscu. Może Tolo z Mortadelą uprzedzili go i teraz śmiejąc się poszukują domniemanego skarbu? Mogli to zrobić bez trudu, mając do dyspozycji składak i dokładny plan terenu.

Pierwsze niepowodzenie tak go podcięło, że zastanawiał się, czy się nie wycofać. Po chwili jednak poczucie obowiązku wzięło w nim górę. Splunął trzy razy, żeby nie zapeszyć sprawy, rozebrał się szybko, ubranie zwinął i zapakował w nieprzemakalną pelerynę, spiął ją paskiem, a pod pasek wepchnął latarkę. Nie zważając na ziąb, wszedł do wody.

Ucieszył się, że tak łatwo dobrnął do znanego z poprzedniej wyprawy zalewiska. Dopłynął do suchego brzegu, rzucił tobołek z ubraniem i, krocząc ostrożnie, ruszył w stronę sterczącej lufy armatniej. Potem wspiął się na leżący obok wrak jakiejś rozpadającej się maszyny. Sięgnął do wylotu lufy.

— Jest! — szepnął. Pod palcami wyczuł bowiem przylepiony do metalu plaster, a pod nim linkę. — Jest! — zadrżał z niepohamowanej radości. Chwycił linkę poniżej plastra i szarpnął. Plaster odkleił się, a linka została w dłoni. Wyciągnął ją powoli, a gdy wyczuł opór, jął owijać linkę wokół dłoni. Wnet z lufy, niby z gardła potwora, wyłonił się solidnie okręcony sznurkiem pakiet.

— Ciężkie te szpiegowskie dokumenty — pomyślał ważąc paczkę w dłoniach. — Trzy kilo, a może i więcej.

Zastanawiał się chwilę, jak dotaszczyć paczkę do wylotu korytarza, wnet jednak wpadł na zbawienny pomysł. Z grubego sznurka zrobił ramiączka plecaka, mocno związał je z paczką, a potem cały ciężar — jak plecak — zarzucił na ramiona. Wszedł do wody. Była lodowata. Dopiero teraz poczuł, że drży z zimna. Zaczął płynąć. Paczka i tobołek z ubraniem utrudniały mu ruchy. Przemógł się jednak i zagarniając mocno wodę, posuwał się dość szybko.

Kiedy znalazł się na środku zalewu, w korytarzu biegnącym w stronę sztolni usłyszał cichy plusk. Wpadł w popłoch. Jego ruchy były zrazu szybkie, a potem rwane i gwałtowne. Czuł, że słabnie. Z głębi korytarza coraz głośniej dochodził plusk, a po oleiście czarnej wodzie przemknęły smugi światła. Gdy spojrzał za siebie, w mdłej poświacie ujrzał wyłaniającą się z mroku łódź; kierowała się prosto na niego.

Zaczerpnął więc powietrza i dał nura. Dzięki obciążeniu szybko dosięgnął dna. Ni to płynąc, ni krocząc, dotarł do betonowej ściany, a gdy się wynurzył, natknął się dłonią na wbity w beton hak. Uchwycił go kurczowo i jeszcze raz zanurkował. Starał się jak najdłużej wytrzymać pod wodą. Zdawało mu się, że rozerwie mu płuca, a w uszach pękną mu bębenki. Zakrztusił się.

Gdy się wyłonił i spojrzał w stronę korytarza, zamiast składaka Tola zobaczył ponton, a w pontonie zamiast wytwornego młodzieńca i Żałosnej Mortadeli, nieznanego mężczyznę w kostiumie płetwonurka.

Co tu się dzieje? — pomyślał zdumiony. — Kto śmiał zabrać ponton? Gdzie się podziali amatorzy łatwych sukcesów? Dlaczego... — Nie dokończył tej myśli, gdy nagle nieznajomy zmienił kierunek i po kilku silniejszych pchnięciach wiosłem, wylądował w miejscu, gdzie z mroku wyłoniła się żelazna gardziel armaty.

Bartek odbił się nogą od ściany, popłynął bardzo wolno i niezwykle ostrożnie w stronę wylotu korytarza. Gdy był już w przyzwoitej odległości, obejrzał się. Z ulgą stwierdził, że nikt go nie ściga.

Gromada rozsierdzonych Indian dotarła do brzozowego zagajnika. Zulejka spostrzegła grubego Araba. Leżał plackiem wśród prapolskich mchów i porostów.

— Śmierć tchórzliwym wrogom! — zawołała.

Wojowników nie trzeba było zachęcać do walki. Uderzyli z wielkim impetem i głośnym wyciem. Arab na widok czerwonych od matczynych szminek twarzy, podniósł się i jął gniewnie miotać polskimi słowami z arabskim akcentem:

— Nie halasić. Tu las. Chronić przyroda! Ptak uciekną i jelenie!

— To pan mówi po polsku? — zawołała zdumiona Gradowa Chmura.

— Ja pracownik instytuta ornitołogia. Wy mi płoszyć ptaki. Zjeżdżać mi w podskok. — Mówiąc to wymachiwał we wszystkie strony rękami.

— A z pana też dobry ptaszek.

— Ty mi tu hłupstwa — prychnął gniewnie — a ja lubi dobra praca. Wynocha!

Chciał pchnąć dziewczynę, lecz ona wywinęła się i, krążąc wokół niego, wykrzykiwała:

— Ja widzieć, co pan knuć! Ptaszek świergolić w pana głowa. A naprawdę to pan z tamtymi międzynarodowa szajka.

— Precz z tego las! — rozsierdził się, lecz jego arabska polszczyzna rozśmieszała czerwonoskórych. Puścili się więc w bojowy taniec, otoczyli go zwartym kręgiem i im bardziej się ciskał i denerwował, tym głośniej rozbrzmiewał śmiech wojowników. Kiedy zrozumiał, że jest bezbronny wobec tej rozkrzyczanej zgrai, opuścił bezradnie ręce i skapitulował.

Arab wolnym krokiem wycofał się z brzozowego zagajnika.

— Ja jeście nie widział takie dziecko. Co ich uczy i szkoła.

Muminek uniósłszy dzidę chciał pobiec za nim, lecz Zulejka zagrodziła mu drogę.

— Daj mu odejść — rozkazała.

— Eee..., nawet skalpu nie dasz ściągnąć — zawołał rozgoryczony.

Z gęstwiny paproci wychylił się Kieł Kuguara.

— Co z ciebie za wódz — natarł. — Wypuszczasz z rąk żywego wroga.

— Nie wygłupiaj się — ofuknęła go Gradowa Chmura. — O to nam tylko chodziło, żeby stąd odszedł.

— Wolałbym, żeby zginął u słupa.

— Siadajcie — rozkazał wódz. — Czeka nas jeszcze najtrudniejsza robota.

Płomienne Oko wyjął z kieszeni torebkę z cukierkami. Położył ją na pniu.

— Częstujcie się — zapraszał.

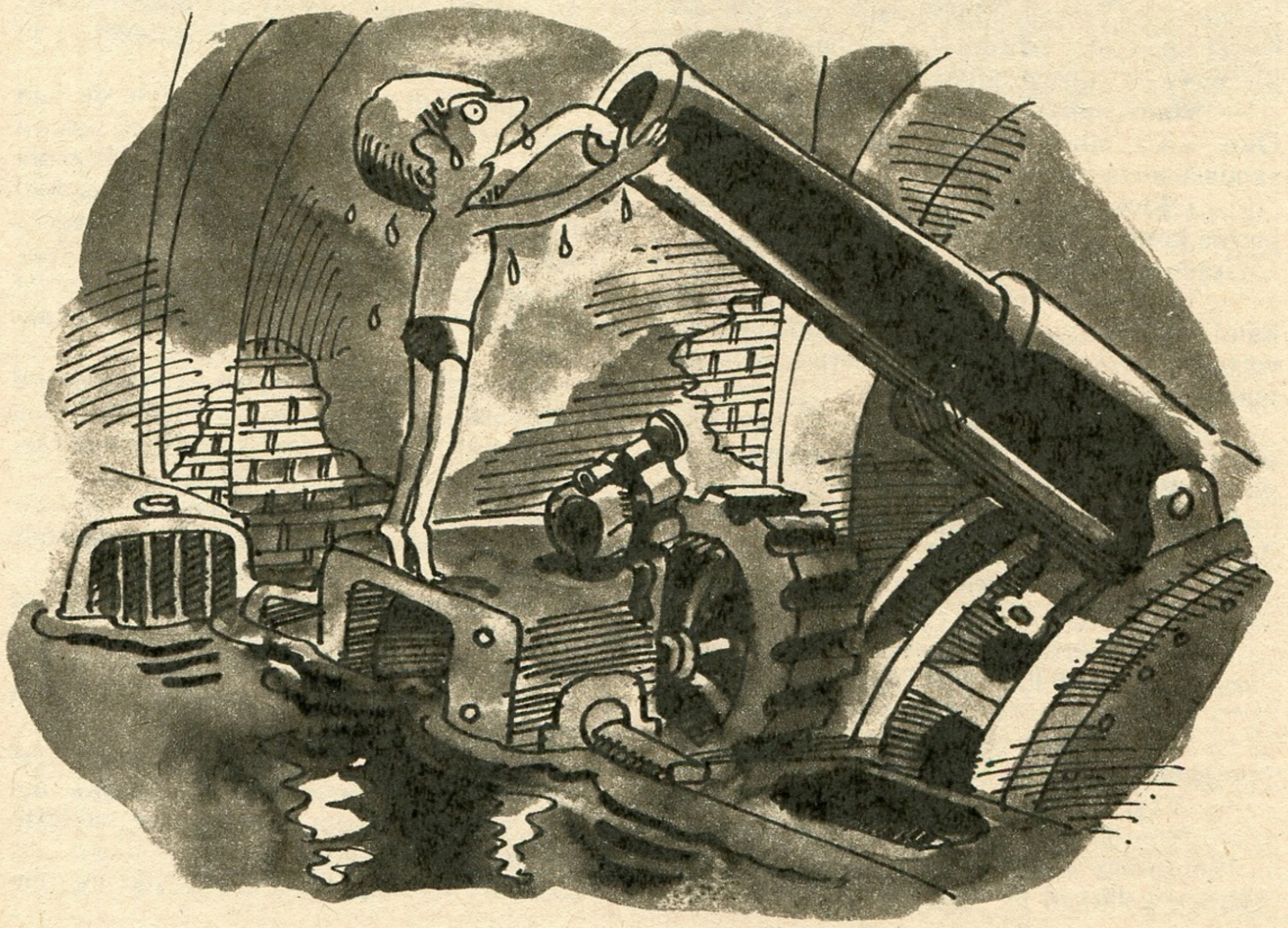

— Ty — zauważył Kieł Kuguara — Indianie nie jedli cukierków.

— A co?

— Pieczeń z bizona, bo od cukierków wypadały im zęby... — Zanim wypowiedział te słowa, jego srocze oczko spostrzegło, że w krzakach obok wejścia do bunkrów coś się porusza. — Hej, wodzu — dał znak Zulejce — ktoś tam jest. Pewno cywilizowany Indianin.

Nie mylił się.

Po chwili z gęstwiny wyłonił się Milcząca Skała. Nie przypominał jednak ani dzielnego Indianina w cywilu, ani nawet chłopca, którego znali pod imieniem Bartek. Miał na sobie tylko slipy. Jego nagie ciało oblepiały glony i wodorosty. W jednej ręce dźwigał zawinięte w pelerynę ubranie, w drugiej starannie osznurowaną paczkę. Na jego widok wszyscy poderwali się i stanęli jak wryci.

Pierwsza ze zdumienia ocknęła się Zulejka. Podbiegła do bohatera i, złapawszy go za ramiona, zapytała:

— Masz?

Bartek nieco wyżej uniósł paczkę.

— Jak widzisz...

Dziewczyna z dumą spojrzała na Bartka.

— To fantastyczne — rzekła uroczyście.

Indianie otoczyli Bartka ciasnym kręgiem.

— Co to? Gdzie to znalazłeś? Co mamy zrobić? — posypały się pytania.

— Spokój, wiara! — uciszyła ich Gradowa Chmura. — To tajne dokumenty tych tchórzliwych białych. Musimy je niepostrzeżenie przenieść do starego młyna.

— Mam pomysł — wyrwał się Płomienne Oko. — Czytałem w jednej książce, że Indianie zamiast wozu używali włók.

— Jakich tam włók?! Oni do tego mieli juczne konie — zauważył Kieł Kuguara.

Gradowa Chmura odsunęła malca.

— Ty zawsze wiesz najlepiej. Pomysł z włókami jest świetny. Dawajcie dwa paliki i trochę cetyny — rozkazała. — Tylko piorunem, bo nie mamy czasu.

Indianie rozbiegli się po lesie. W mgnieniu oka znaleźli dwa suche paliki i kilka sosnowych gałęzi. Płomienne Oko zabrał się do roboty.

Tymczasem wódz Arapachów zbliżył się do Milczącej Skały.

— Nikt cię nie widział? — zapytał szeptem.

— Chyba nie.

— Dlaczego chyba?

— Bo był tam jakiś facet zupełnie nieznany.

— Może Łukasz?

— Nie. Mówię ci, że nieznany. Pływał pontonem Łukasza.

— A ty?

— No... ja musiałem popłynąć wpław.

Wojownicy uwinęli się szybko z włókami. Między palikami przywiązali sznurkiem dwie poprzeczki, a z drobniejszych patyków zrobili kratownicę. Nawet prawdziwi Czejenowie znani z dobrej roboty nie zrobiliby lepszych. Wnet na kratownicy rozpostarli pelerynę, położyli na niej paczkę, wszystko przykryli świeżą cetyną, a gdy byli gotowi, Kieł Kuguara zapytał:

— Wszystko w porządku, ale kto będzie koniem?

Zgłosił się Okularnik. Podniósł dyszle i ruszył dziarsko z kopyta. Inni wojownicy, nie czekając na rozkaz, rozstawili się wokół włók i poszli za Okularnikiem. Pochód skierował się do starego młyna.

Kiedy zbliżali się do wydm, spoza wzgórz wychyliła się otaczająca młyn kępa starych drzew. Ruszyli więc raźniej.

Chłodny wiatr przetarł nieboskłon i zmarszczył lustro wody. Nad młynem krążyły rybitwy, a z przybrzeżnych trzcin kumkały głośno żaby.

Bartek podszedł do Zulejki.

— Zdaje mi się, że wszystko się udało.

— No jasne — uśmiechnęła się — zrobiliśmy ich na perłowo. Tylko czy ten Łukasz... — Urwała nagle.

— Co chciałaś powiedzieć?

— No, wiesz... czy on nie zrobi nam jakiegoś kawału?

— Coś ty... To świetny gość.

Dochodzili już do celu. W konarach olch szemrał sypko wiatr, nietoperz bezszelestnym lotem, pętla za pętlą, otaczał omszały dach młyna. Słychać było plusk wody spadającej z młyńskiego jazu.

Nasi łowcy przygód nie rozczulali się nad pięknem krajobrazu ani nie podziwiali śpiewu kosów i drozdów. W uroczystym milczeniu okrążyli młyn, a gdy zbliżyli się do rybackiej kładki, Płomienne Oko rzucił dyszle włók. Bartek szukał wzrokiem łódki Łukasza. Przy próchniejących palach pomostu kołysały się na wodzie dwie łodzie, żadna jednak nie nazywała się Fela.

— Coś mi tu nie klapuje — wyszeptał niemile zaskoczony. — Nie ma łódki Łukasza.

Zulejka zwróciła ku niemu zalęknione oczy.

— To co robimy?

— Czy ja wiem? Może ukryjemy tę paczkę w zaroślach, a Łukasz... — zamilkła i spłoszone spojrzenie skierowała na ścieżkę.

W tej samej chwili spoza walącego się młyna wyszedł Krzywonos. Po tajemniczym uśmieszku błądzącym między oczami a kącikami ust można było spostrzec, że jest w doskonałym nastroju.

— Witajcie, dzielni Indianie — powiedział z daleka, a gdy się zbliżył do kładki, dodał: — Gratuluję wam. Bez was nie znaleźlibyśmy tego skarbu.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Nikt nie spo-

dziewał się takiego obrotu sprawy. Zulejka z Bartkiem zamienili zdumione spojrzenia.

— A pan... — zająknęła się Zulejka — to właściwie kto? — Myślała, że zblednie, zamieni się w słup soli lub da drapaka, a on tymczasem przymrużył figlarnie oko.

— Ja? Poznaliśmy się przecież. Jestem Krzywonos.

Bartek zachłysnął się.

— Skąd pan wie, że tak pana nazwaliśmy?

— Dobry agent obcego wywiadu musi wiedzieć więcej, niż sądzicie.

Zulejka rozsierdziła się.

— To skandal — natarła z impetem — nie dość, że jest pan szpiegiem, to jeszcze sobie z nas bimba.

Krzywonos przybrał teatralną pozę.

— A ty, dzielny wodzu szczepu Arapachów, wiesz przynajmniej, kim jestem?

— Przecież przed chwilą przedstawił się pan bardzo wyraźnie.

— Ale kim jestem? — dał się słyszeć z zarośli dobrze znajomy głos.

Wszyscy zwrócili się w tę stronę. Po chwili z plątaniny krzaków wyłonił się Fajczarz. W kącikach jego ust igrał przękorny uśmieszek.

Zulejka podbiegła do niego.

— Pan jest najprzewrotniejszy z przewrotnych. Proszę mi powiedzieć, ile jajek znosi sójka na wiosnę? — zapytała przechylając zaczepnie głowę.

— Brawo! Jesteś naprawdę dowcipna.

— A ja wiem, kim pan jest — zawołał cieniutko Muminek. — Pan pisze książki i jest pan teleratem.

— Mówi się literatem — poprawiła go Zula. — Ale ja i tak w to nie wierzę. Świetnie się pan maskuje. Na moje wyczucie jest pan szefem tej szpiegowskiej szajki.

Krzywonos zbliżył się do włók.

— A tu są ukryte tajne dokumenty i plany.

Zulejka zagrodziła mu drogę.

— Proszę nie ruszać, bo za chwilę przybędzie milicja.

— Właśnie przybyła. — Uśmiechnął się

znacząco.

— Ten pan was nie bujał, on rzeczywiście jest oficerem milicji — wyjaśnił z uśmiechem Fajczarz.

— Niemożliwe — wymamrotała Zulejka.

— A ten pan, pan Bartkowski — Krzywonos ujął Fajczarza pod rękę — jest znanym pisarzem dla młodzieży.

— Nie wierz im — zawołał Rączy Łoś — oni chcą cię zrobić w konia.

Bartek uniósł ręce gestem rozpaczy.

— To niebywałe! Sami zrobiliśmy z siebie idiotów. Teraz już poznaję pana Bartkowskiego. Przecież widziałem pana w telewizji.

Pan Henryk Bartkowski przestał być Fajczarzem, a Indianie Indianami. Młodzi poszukiwacze przygód z uznaniem i tajoną ciekawością przyglądali się sportowej sylwetce pisarza.

— To pan... naprawdę pan... napisał „Przygodę w Szczebrzeszynie"? — zapytał Płomienne Oko.

— Tak... to ja. A wy nie martwcie się. Dzięki wam pan kapitan Sumerski...

— To nie pan kapitan — Zulejka z respektem spojrzała na oficera — tylko my odnaleźliśmy...

— Tak — potwierdził kapitan. — To dzięki wam odzyskaliśmy część towaru.

— Właśnie, właśnie — wtrącił Muminek — co właściwie jest w tej paczce, bo umieram z ciekawości?

Kapitan zrobił tajemniczą minę. Wyjął paczkę spod świerkowych gałęzi i przeciął scyzorykiem sznurek, a potem rozwinął papier. Wszyscy ze wzrastającą uwagą śledzili każdy jego ruch. Nagle z papieru wyłoniło się kilka porcelanowych figurek.

— Tańczący słoń — zawołała Zulejka.

— Sześć tańczących słoni — poprawił ją Bartek.

Zulejka podeszła do kapitana i z tekturowego pudełka wyjęła jedną figurkę. Przyglądała jej się chwilę, a potem spojrzenie zwróciła na oficera.

— Dopiero teraz nic z tego nie rozumiem.

Adam Bahdaj
(Ciąg dalszy nastąpi)
Rys. Jerzy Flisak

POZDROWIENIA OD PRZYJACIÓŁ

Otwieram niecierpliwie dużą kopertę, którą właśnie przyniósł mi listonosz. Francuski znaczek pocztowy, stempel — Paris.

Wyjmuję piękne książeczki z kolorowymi rysunkami. To upominek od moich małych przyjaciół z jednej z podparyskich szkół. Pisane i ilustrowane przez dzieci i dla dzieci, a wydawane przez „dorosłe" wydawnictwo w stolicy Francji, w Paryżu.

A oto i fotografia — cały zespół redakcyjny: Julie, Dawid, Mohammed, Paola, Leo, Florian, Natalie, Raschid, Rodrigo... razem dwadzieścia troje dzieci. To one, dzieci z najmłodszych i ze starszych klas szkoły podstawowej w osiedlu Boissy-St. Leger wpadły na pomysł wspólnego pisania oraz ilustrowania bajek, historyjek, przygód. Czekają na nie ich rówieśnicy.

We Francji mieszka wiele dzieci różnych narodowości. Oczywiście mali Francuzi, Włosi, Portugalczycy, Arabowie, Japończycy. Dlatego tekst w książeczkach pisany jest w trzech językach: po francusku, po portugalsku i po arabsku.

Moi mali przyjaciele bardzo zapalili się do pracy literackiej. Przygotowują zwykle 3—4 książeczki rocznie. To dużo, jeżeli wziąć pod uwagę, jak żmudna jest droga od napisania tekstu i wykonania rysunków do wypuszczenia w świat gotowej, kolorowej książki. Pracą wydawniczą zajęli się dorośli, którzy popierają inicjatywę i zapał małych autorów. Dzieci nadały serii swoich książeczek nazwę: „Opowieści czterech wiatrów".

Mali autorzy nie tylko piszą i rysują. Odwiedzają również drukarnię, śledzą etapy powstawania książki, sami robią korektę. Korekta to poprawianie tekstu w czasie druku. Któż bowiem, jak nie autor, najszybciej znajdzie błąd? A często „chochlik drukarski" (tak mówią drukarze) wkrada się do maszyny, aby pomylić litery, słowa, czasem całe wiersze...

Oglądam nadesłany mi prezent. Na okładce tytuł: „Zaczarowany zamek". A początek opowieści brzmi tak: „Tomek jest chłopcem cichym i trochę nieśmiałym. Jego starsza siostra Izabela troszczy się o niego zawsze i wszędzie..."

Na końcu książeczki czytam napisane ręką któregoś dziecka słowa:

„Nous saluons nos camarades en Pologne" — pozdrawiamy naszych kolegów w Polsce.

Helena Kujawska

TERYTORIUM — WŁASNOŚĆ PRYWATNA

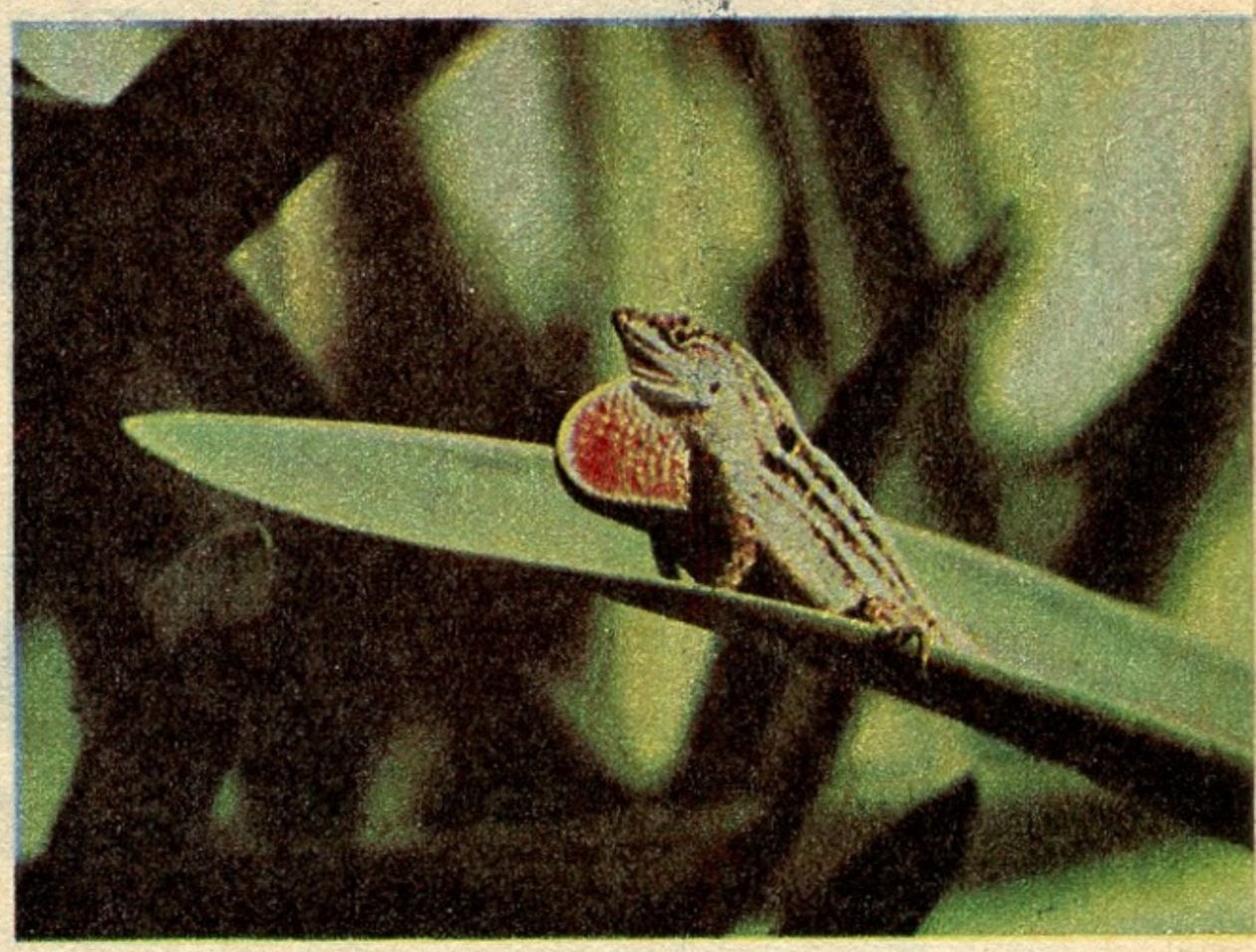

Legwan straszy intruza

Dla wielu zwierząt jedną z najważniejszych „życiowych" spraw jest zdobycie własnego terytorium. Jest ono czymś w rodzaju własnej posiadłości, jaką może być niewielki obszar ziemi, a nawet drzewo, krzak czy gałązka.

Najczęściej w centralnym punkcie terytorium znajduje się gniazdo lub nora, czyli „dom" właściciela i właśnie to siedlisko wraz z najbliższym otoczeniem jest najzajadlej bronione przed rozmaitymi intruzami.

Kto uważany jest za intruza? Zwierzęta bronią swoich posiadłości wyłącznie przed... osobnikami własnego gatunku. Samiec lisa toleruje na własnym terytorium obecność borsuka, który mu zbytnio nie przeszkadza, czy myszy, stanowiących przecież podstawę jego wyżywienia. Za to ścigać będzie innego lisa-samca i nie uspokoi się, zanim ten nie opuści granic jego terenu. I trudno mu się dziwić: borsuk albo wiewiórka prowadzą inny tryb życia, toteż nie stanowią dla niego większej konkurencji czy zagrożenia. W przypadku drugiego lisa sprawa znacznie się komplikuje. „Ten drugi" z pewnością będzie łowić tę samą zwierzynę i zacznie „objadać" prawowitego właściciela. Obcy może rywalizować z nim o względy tej samej lisiczki oraz prawdopodobnie zająć najlepsze miejsce na norę. Toteż dla jednego lisa — inny lis jest niebezpiecznym konkurentem, którego należy czym prędzej przepędzić, gdzie pieprz rośnie. Za to lisiczka będzie z pewnością mile widziana.

Właścicielem „posiadłości" może być nie tylko jedno zwierzę, ale również rodzina, np. zimorodków czy szakali oraz całe stado, jak to ma miejsce u hien i małp.

Skąd zwierzęta wiedzą, gdzie przebiegają „granice" ich terytoriów? Ludzie pragnący odgrodzić swój ogródek czy zagrodę — po prostu stawiają płoty. Zwierzęta tego nie potrafią, więc oznaczają swoją własność, czym mogą: za pomocą gestów, barw, dźwięków i zapachów. Sygnały te pełnią rolę ogłoszenia: „teren zajęty, wstęp surowo wzbroniony".

Małe legwany z rodzaju „Anolis" mają jaskrawo ubarwione podgardle, które potrafią nadymać jak balon. Zaniepokojona jaszczurka wygląda groźniej i nie ma wątpliwości, że ostrzega przed wtargnięciem na swoją gałązkę. Znaczy to mniej więcej to samo, jakby gad wołał: „Tu mieszkam ja, legwan taki a taki, nie radzę przychodzić!"

Lisy oznaczają swoje terytorium zapachem

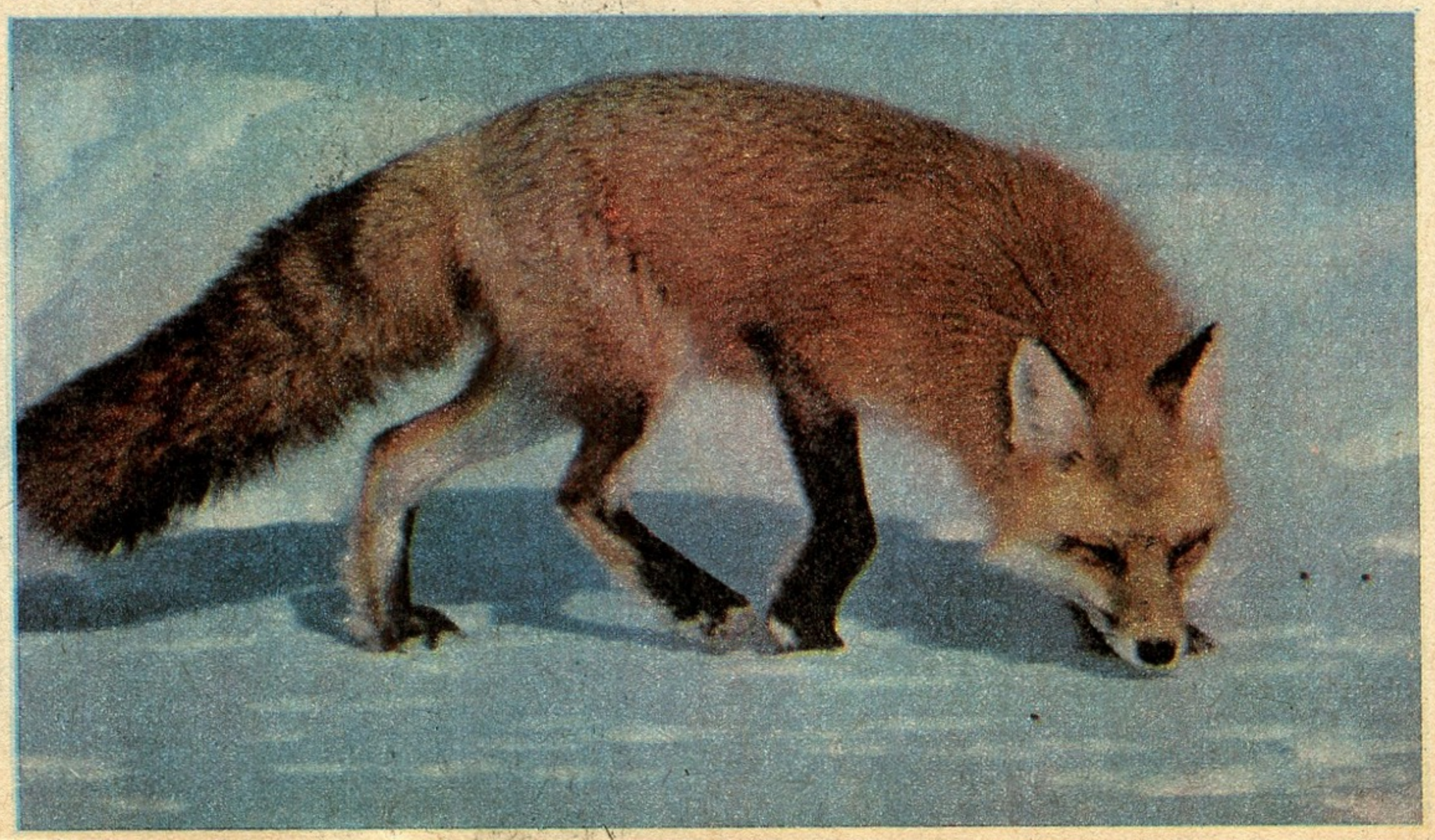

Wiele ryb koralowych znakuje terytorium własnymi niezwykle jaskrawymi barwami ciała. Pływając raźno wzdłuż swojego odcinka rafy koralowej — rybki są doskonale widoczne, a ich ostre kolory sygnalizują, że ten teren ma już właściciela.

Mieszkające w gęstwinie drzew afrykańskie małpy — górskie gerezy — mają dziwaczne ozdoby: na ramionach i ogonie wyrastają im długie, jasne kępy sierści. Wymachując łapkami i ogonami oraz wrzeszcząc, co sił w płucach, małpy przestrzegają ukryte w gęstwinie sąsiednie stadka gerez, iż nie będą mile widziane. Już same groźne okrzyki robią duże wrażenie, a jasne kępy sierści migając wśród zieleni dodatkowo potęgują efekt. Sąsiedzi doskonale rozumieją, o co chodzi, i odpowiadają pięknym za nadobne.

Granice terytorium wytyczyć można również za pomocą głosu. Np. słonie morskie pływają wzdłuż wybranego przez każdego z nich odcinka wybrzeża i ryczą wniebogłosy.

Wśród małych ptaszków najczęściej spotykanym sposobem znakowania terytorium jest śpiew. Tak, moi drodzy. Ptaszki świergoczą i czarują ślicznymi głosami nie po to, by umilić komuś spacer w lesie! Ich piękne trele są przestrogą, którą inny samiec danego gatunku powinien wziąć sobie do serca, jeśli nie chce narazić się na nieprzyjemności. Podobne znaczenie ma również cykanie świerszcza. Widzicie więc, że zarówno groźne ryki, wrzaski, jak śliczne piosenki, cykanie świerszczy i zwykłe pianie koguta pełnią tę samą rolę: pomagają zatrzymać na odległość przedstawiciela tego samego gatunku.

Ssaki najczęściej znakują terytorium za pomocą zapachu. Nasze domowe psy, a także wilki, likaony i lisy podnoszą nogę zostawiając swój „podpis" na okolicznych krzakach, trawach i drzewach. Moczem znakuje swoją posiadłość również większość kotowatych, m.in. lwy, i wiele innych zwierząt. Nosorożce kupkami nawozu oznaczają wejścia do wydeptanych wśród wysokich traw tuneli i ścieżek.

Niektóre zwierzęta mają specjalne gruczoły, których wydzieliny są właśnie ich pachnącym śladem. Borsuki i kuny mają takie „urządzenie" koło ogona, antylopy — pod oczami, a dzikie króliki — przy szczękach.

Nie sądźcie, że zwierzęta są samolubne, ponieważ bronią innym dostępu do własnego terytorium. Gdyby zbyt wiele zwierząt tego samego gatunku znajdowało się na jednym terenie — z pewnością zabrakłoby dla nich miejsca i pożywienia. A tak mogą łatwiej i równomiernie zagospodarować okoliczne tereny, na których żyją.

Anna Siwkiewicz

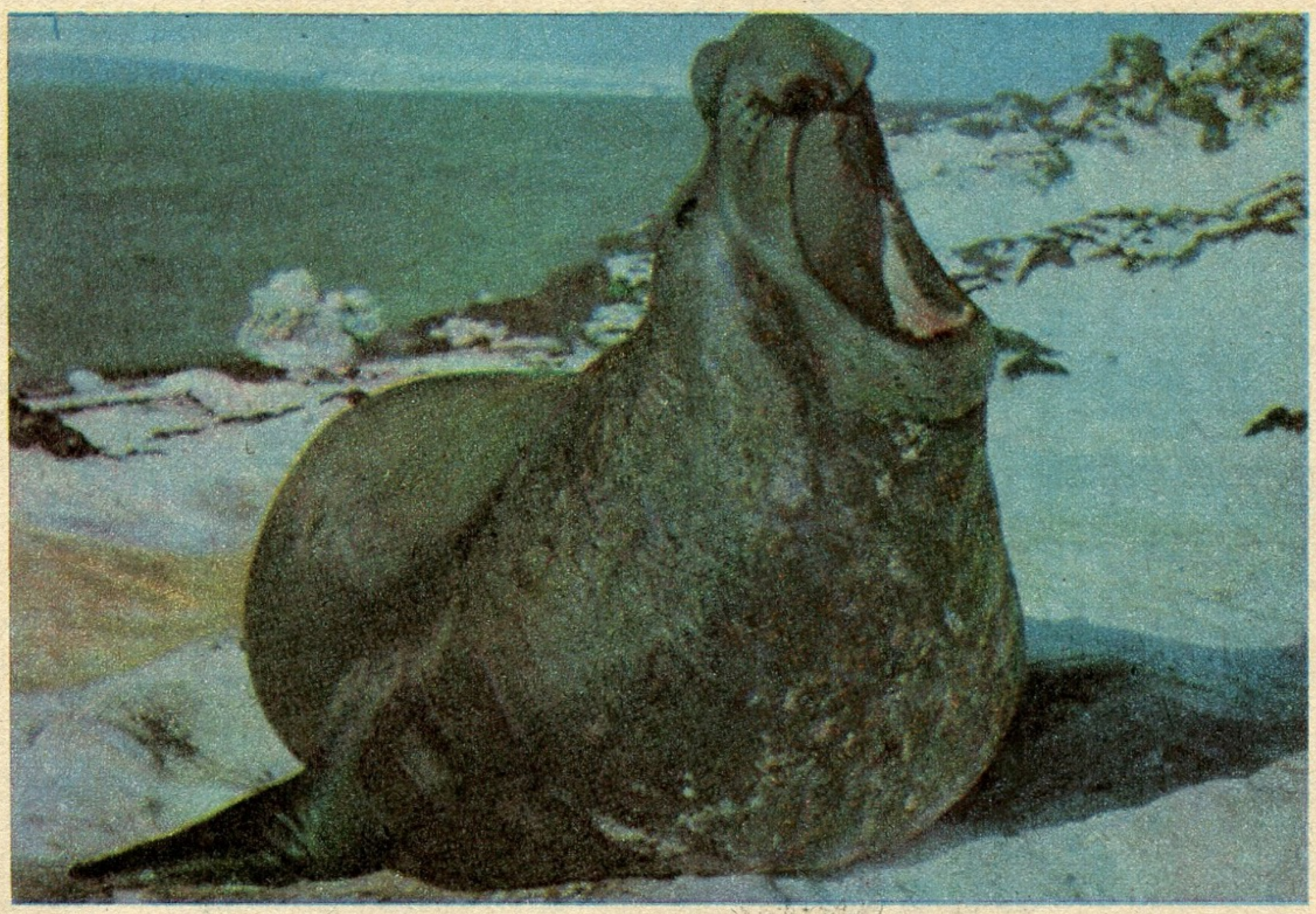

Słoń morski ogradza terytorium rykiem

MOJE NAJCIEKAWSZE

W tym numerze „Płomyczka" drukujemy listy Agnieszki i Joanny, dla których ich „najciekawszym" są zwierzęta.

Oto list **Agnieszki Kicińskiej** z Łukowa, która hoduje chomiki.

„Dla mnie »najciekawsze« — to po prostu c h o m i k, którego nazwałam Duduś. Ma czarną sierść i czarne, wyglądające jak koraliki, oczy. Kiedy go dostałam w prezencie, był bardzo malutki, głośno piszczał i mocno gryzł. Na pewno przeraziła go zmiana miejsca i zupełnie obce otoczenie. Jednak szybko się zadomowił i przyzwyczaił do nas. Teraz już nie gryzie. Mieszka we własnym, szklanym domku, czyli w przeznaczonym dla niego akwarium. Chętnie śpi zagrzebany w różne galganki. Latem biega po ogrodzie, a w zimne dni — po pokoju. Zwiedza wtedy wszystkie zakamarki. Duduś jest smakoszem. Lubi kapustę, jarmuż, sałatę, marchewkę, sery, jabłka, kaszę, chleb oraz ziarna słonecznika, kukurydzy i pszenicy. Rano ładuje sobie jedzenie do specjalnych toreb policzkowych i zanosi do legowiska. Tam je wyrzuca i dopiero potem spokojnie zjada.

Wszyscy lubimy Dudusia. A ja i moja siostrzyczka dbamy o niego. Poznajemy coraz lepiej jego zwyczaje. Zawsze przy tym odkryjemy coś interesującego.

Dzięki mojemu chomikowi polubiłam wszystkie zwierzęta. Dlatego uważam, że obserwowanie życia zwierząt to właśnie — moje najciekawsze".

Agnieszkę i innych naszych czytelników zachęcamy do lektury artykułu o chomikach, który wkrótce wydrukujemy w cyklu „Zwierzęta w naszym domu". Znajdziecie w nim wiele informacji przydatnych w hodowli tych miłych zwierząt.

A co okazało się „najciekawsze" dla **Joasi Łazarskiej** z Krakowa?

W swoim liście napisała:

„Mój dziadek ma pasiekę, a w niej trzydzieści jeden uli. Pomagam mu, gdy pracuje przy pszczołach. Robimy razem ramki do uli. Najchętniej jednak lubię razem z dziadkiem wybierać miód. Wkładam wtedy specjalny kapelusz pszczelarski, żeby nie pogryzły mnie owady, i objadam się pachnącym, świeżutkim miodem prosto z woskowych plastrów.

Pewnego dnia zauważyłam na gałęzi drzewa dużo pszczół. Pobiegłam do domu, by o tym opowiedzieć. Był to nowy rój, który dziadek bardzo ostrożnie zdjął z drzewa i przeniósł do ula. Niestety, pszczoły niedługo uciekły. Bardzo się zmartwiłam i nie rozumiałam, dlaczego tak się stało. Wtedy dziadek wytłumaczył mi, że nie zabrał z drzewa pszczelej królowej-matki, a bez niej pszczoły-robotnice wracają tam, gdzie były poprzednio. Niestety, na drzewie już ich nie znaleźliśmy. Może wróciły do pasieki, w której żyły dotychczas, a może znalazły inne, nowe miejsce?

Po tej przygodzie zainteresowało mnie życie pszczół. Dziadziuś mówi, że chyba zostanę pszczelarką. Chciałabym, żeby tak było, bo dla mnie „najciekawsze" to właśnie p s z c z e l a r s t w o".

Autorki wydrukowanych listów otrzymają nagrody książkowe, które wysyłamy pocztą.

Wszystkim czytelnikom przypominamy, że płomyczkowy konkurs „MOJE NAJCIEKAWSZE" trwa nadal. Czekamy więc na Wasze wypowiedzi o ciekawych ludziach, sprawach, miejscach i wydarzeniach. Listy należy przysyłać pod adresem: Redakcja „Płomyczka", 00-950 Warszawa, Skr. poczt. 380, z dopiskiem na kopercie: „MOJE NAJCIEKAWSZE".

DNI OŚWIATY

„PATATAJ"

Świeszyno — mała wieś, położona na samym krańcu Polski, pod Koszalinem. Cicho tu i spokojnie, wydawać by się mogło, że nic się nie dzieje. Wszyscy jednak, którzy znają i lubią teatr lalkowy, o Świeszynie słyszeli. Od 9 lat istnieje tu i działa w Gminnym Ośrodku Kultury dziecięcy teatr lalkowy „Patataj", prowadzony przez panią Mieczysławę Ciemnoczołowską.

ZABAWA W TEATR

Dzieci grupkami przychodzą na próbę, śmieją się, żartują. Każdy ma swoją ulubioną lalkę. Agnieszka najbardziej lubi kózkę, z którą zaprzyjaźniła się podczas ostatniego przedstawienia. Bogusia nie odstępuje nikomu wilka. Rozmawiamy o teatrze, pokazują mi fragmenty

swoich przedstawień. W rękach młodych aktorów-lalkarzy ożywają szmatkowe królewny i tekturowi rycerze. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki roztacza się wokół świat bajki. Dzieci niemal wszystkie role znają na pamięć, każdy może zastąpić chorego kolegę czy koleżankę. Na próby przychodzą chętnie, zawsze dzieje się tu coś ciekawego. Wszyscy uwielbiają podróże i każdy wyjazd jest dla nich nie lada atrakcją. Ze swoimi przedstawieniami objeździli już wszystkie niemal domy kultury w okolicy, byli na wielu festiwalach. Najbardziej lubią występować przed widownią dziecięcą.

W budynku Gminnego Ośrodka Kultury lalkarze mają swoją pracownię. Nie jest to jakaś tam pracownia, lecz prawdziwa pracownia lalkarska, pełna szmatek, gałganków, najrozmaitszych narzędzi i urządzeń — począwszy od imadła, a skończywszy na maszynie do szycia. Tu, pod okiem pani Mieczysławy uczą się projektować, wykonywać i malować lalki i dekoracje.

Dobranie odpowiedniego koloru i gatunku tkaniny sprawia czasem dużo trudności. Posługiwanie się igłą i nitką też nie zawsze się udaje, gdy w domu mama przyszywa guziki. Trzeba jednak sobie radzić. Miś musi wyglądać zabawnie i uszy powinien mieć zgrabnie przyszyte. Kopciuszkowi dziewczynki szyją wspaniałą balową suknię. Każda z nich chciałaby mieć taką na swoim pierwszym balu. Pomysłów nie brakuje. W realizacji pomaga pani Mieczysława, zawsze coś podpowie, doradzi.

HISTORIA TEATRZYKU „PATATAJ"

Zespół powstał dziewięć lat temu w 1977 roku. Pierwszą grupkę dzieci pani Mieczysławie udało się zorganizować przy pomocy nauczycielki p. Danuty Kaweckiej. Z czasem rozrastał się. Często bywało po prostu tak, że starsza siostra przychodziła na próby z młodszym bratem, któremu zabawa z lalkami tak się podobała, że już nie można go było zostawić w domu.

Do pierwszego występu przygotowywali się bardzo starannie. Najpierw wykonywali lalki i uczyli się ról. Wiele kłopotu było z dykcją.

— Trzeba mówić powoli, starannie wymawiać końcówki — tłumaczyła opiekunka zespołu, pani Mieczysława. Nie można szeptać pod nosem. Trema przed premierą była wielka. „Guligutkę, czyli śpiewogrę na kaszubską

nutę", udało się pokazać w 1978 roku na Wojewódzkim Przeglądzie Amatorskich Teatrów Lalkowych w Koszalinie i od razu nagroda. Sympatyczny osiołek „Patataj", występujący w „Guligutce..." tak się dzieciom podobał, że postanowiły jego imieniem nazwać swój teatr. Od tej pory „Patataj" wystawił już 17 sztuk. M. in. „Diabelskie skrzypce", „Lata ptaszek", „Kopciuszek", „O kózce".

Liczba dyplomów i nagród, jakie otrzymał teatr, jest długa. Warto by jednak wspomnieć tu o ostatniej nagrodzie na Festiwalu Teatrów Lalkowych w Kętach, gdzie „Patataj" zajął I miejsce i został zaproszony do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalkowych, który odbędzie się w tym roku w Bielsku Białej. Do Bielska pojadą przede wszystkim teatry profesjonalne, ale pojedzie również dziecięcy amatorski teatr lalkowy „Patataj" ze Świeszyna z przedstawieniem „Król Makulatur", które zwróciło szczególną uwagę jurorów i widowni w Kętach.

TEATR WIDZIANY OCZAMI DZIECKA

Kiedy pytam o repertuar, pani Ciemnoczołowska jest nieco zakłopotana. — Właściwie to dzieci przynoszą różne bajki, piosenki, które lubią, które wyciągnęły ze starej szuflady. Czytamy je, przerabiamy, powstaje coś naszego. Tak było właśnie z „Królem Makulatur". Pewnego razu ktoś przyniósł „Krotochwilę Kartoflaną" Jana Sztaudyngera. Zaczęliśmy czytać i zastanawiać się, jak ją przerobić dla naszego teatru, i tak „Krotochwila Kartoflana" nieoczekiwanie przerodziła nam się w „Krotochwilę makulaturową". „Król Makulatur" jest całkowicie improwizowaną zabawą dzieci. Większość scen w tej sztuce nie jest wyreżyserowana. Inwencja dzieci, ich wyobraźnia, pomysłowość wypełnia poszczególne sceny i nadaje im bardzo specyficzny charakter. Jest to teatr widziany oczami dziecka.

Elżbieta Wrzecionkowska
Fot. Krzysztof Sokołów

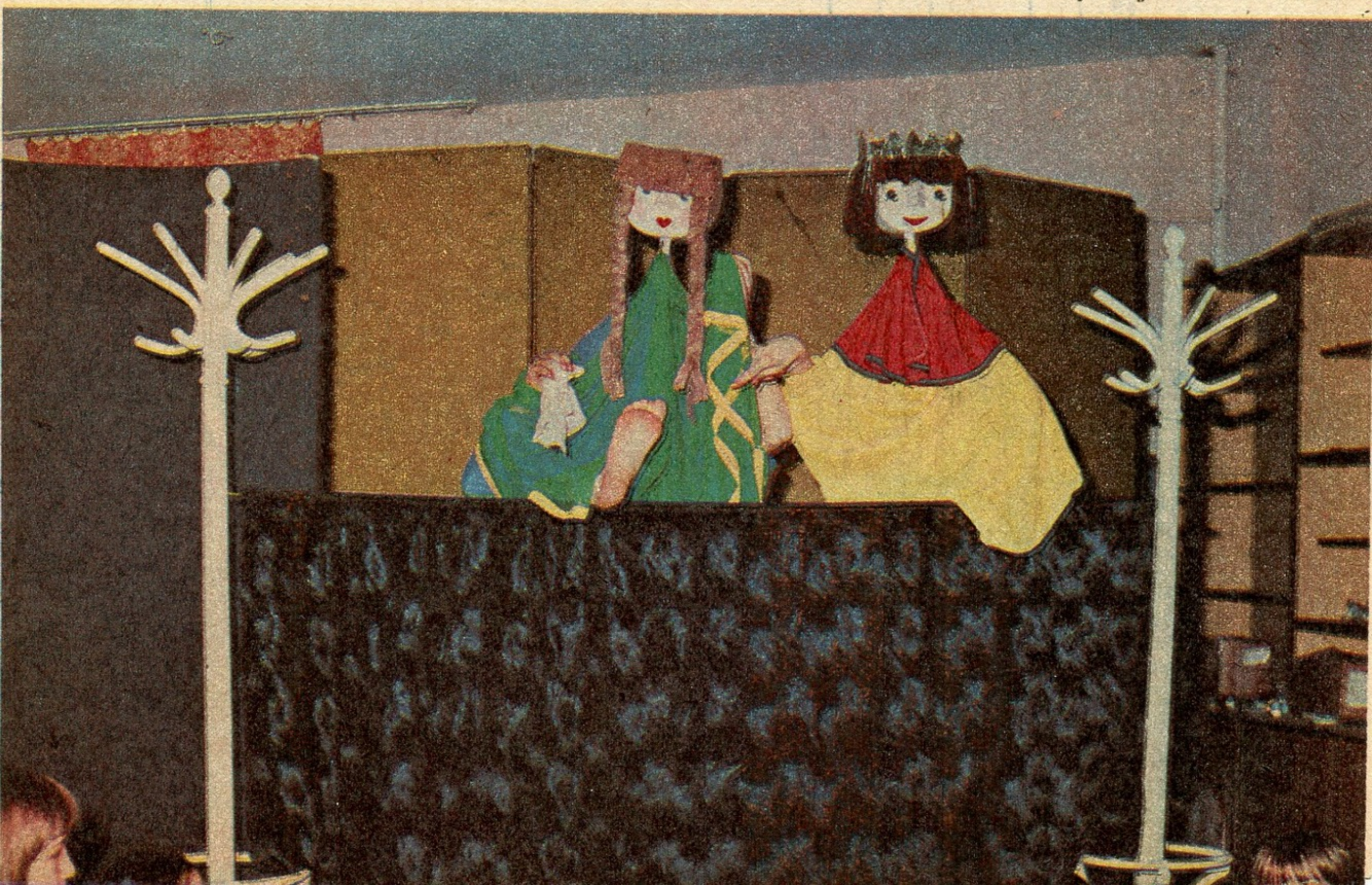

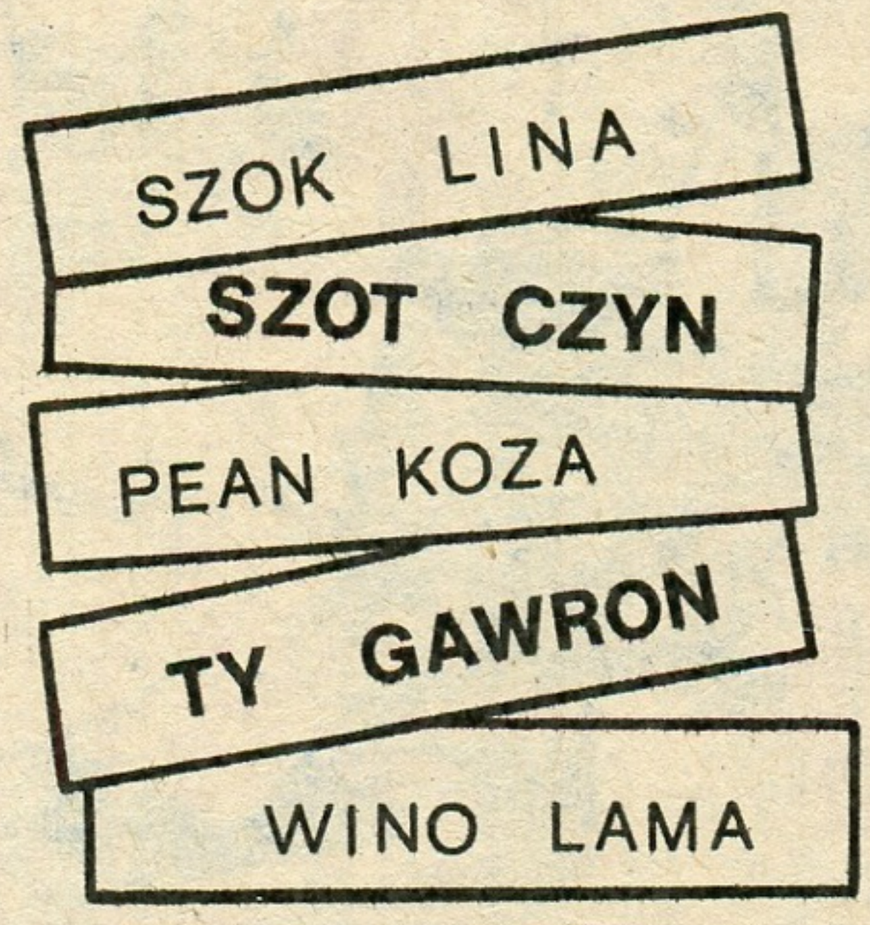

JAKIE TO MIASTA?

Przez przestawienie liter w poszczególnych parach wyrazów należy utworzyć nazwy miast polskich.

KRZYŻÓWKA

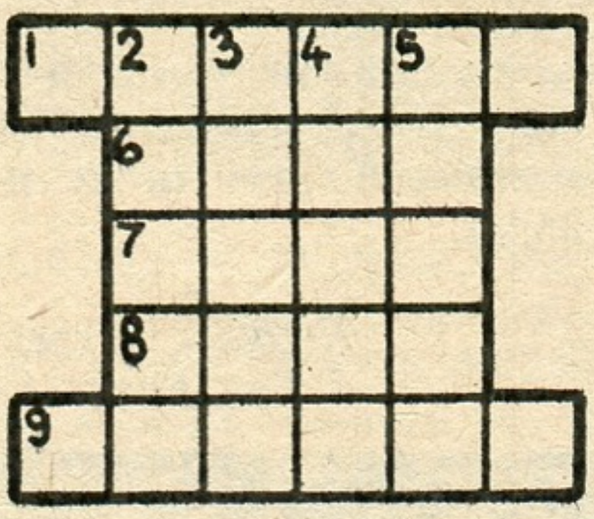

Do pustych kratek wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.
Poziomo: 1. rodzaj utworu muzycznego, 6. powstaje przy gotowaniu wody, 7. marka samochodu, 8. gruby sznur, 9. więcej niż król.
Pionowo: 2. miasto wojewódzkie na południowym zachodzie kraju, 3. niejeden na tablicy, na różnych opakowaniach, 4. najważniejsza część cyrku, 5. dawna moneta polska.

Rozwiązania z nrów 6 i 7

Krzyżówka. Poziomo: 4. pomidor, 5. trójkąt, Pionowo: 1. dobro, 2. wizja, 3. posąg. Wizytówki: 1. cukiernik, 2. plastyk, 3. kolejarz, 4. księgarz, 5. kierowca, 6. krawiec, 7. mechanik; Rebusy literowe: T — literat, U — uraz, S — Samos, Z — zraz; Uzupełnianka: 1. igiełki, 2. siewnik, 3. dzisiaj, 4. kwiat, 5. obiad, 6. chinina, 7. pingwin, 7. indorki; Labirynt: Miej oczy zawsze otwarte; Ukryte sprzęty domowe: 1. budzik, 2. lampa, 3. łóżko, 4. kanapa, 5. szafa, 6. stolik, 7. krzesło.

PANTROPA

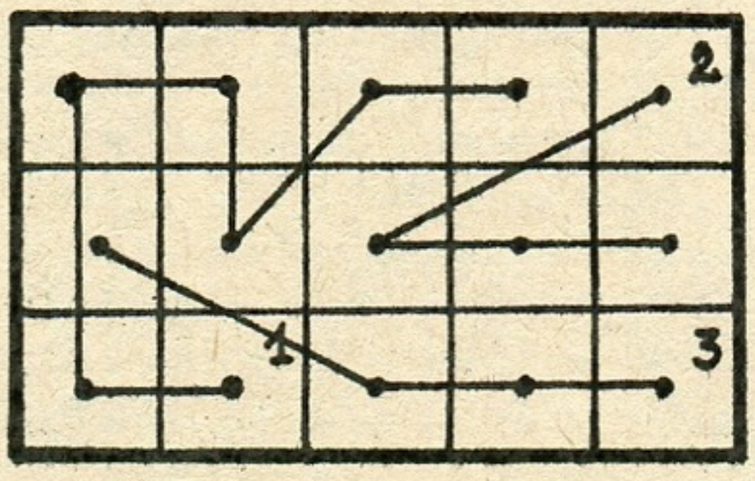

Odgadnijcie znaczenie wyrazów i wpiszcie je do diagramu w sposób wskazany liniami łamanymi, a następnie rzędami poziomymi odczytajcie rozwiązanie, którym jest przysłowie polskie. Znaczenie wyrazów 1. żabie oseski, 2. jest nim gołąb, 3. nocna zjawa.

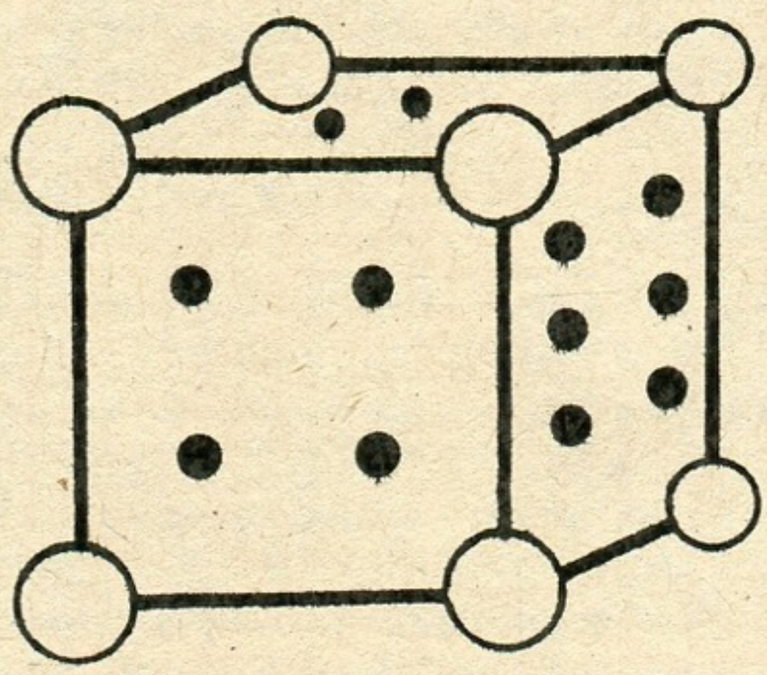

MAGICZNA KOSTKA

W kółka znajdujące się w rogach ścianek kostki należy wpisać cyfry od 1 do 7 tak, aby suma cyfr na każdej ściance kostki wynosiła 20, wliczając w to oczka widoczne na poszczególnych ściankach kostki.

REBUS ANAGRAMOWY

E

Po odgadnięciu znaczenia rysunku do otrzymanej nazwy należy dopisać widoczną literę, a następnie wszystkie litery tak poprzestawiać, aby otrzymać ośmioliterowy wyraz, stolicę jednego z województw.

NASZ ZWIERZYNIEC

DELFIN

Delfiny należą do ssaków wodnych, zwanych waleniami. Niektóre z waleni, jak wieloryby, mogą osiągać długość ponad 30 m i ważyć 135 ton, co równa się w przybliżeniu masie 25 słoni lub 150 krów. Delfin zwyczajny nie przeraża nas ogromem swego ciała, największa bowiem jego długość dochodzi do 2,4 metra. Z kształtu jest podobny do ryb i w tym samym, co one, żyje środowisku.

Jest zwierzęciem nader inteligentnym. Chociaż ma szczątkowe receptory powonienia i smaku, a i wzrok nie za bystry, góruje nad innymi ssakami doskonałym słuchem. (Nie ma dziurek w uszach ani małżowin usznych — głębiej położone struktury, stanowiące tzw. ucho wewnętrzne, osiągnęły precyzję doskonałą). Dzięki temu delfin może odbierać nie tylko dźwięki słyszalne dla nas wszystkich, ale też ultradźwięki, składające się z ultradźwięków echolokacyjnych, czyli wykrywających przedmioty stałe w wodzie, i takich, za pomocą których może porozumiewać się z innymi delfinami. Jest to właściwie mowa tych zwierząt, potwierdzona badaniami uczonych, dająca się zarejestrować czułymi aparatami fonicznymi. To fascynujące odkrycie budzi nadzieję, że już wkrótce rozszyfrujemy tę mowę, jak ongiś pismo Babilończyków i Egipcjan, dopasujemy do niej alfabet, nauczymy się jej „produkcji" i „emisji".

Spróbujmy zatem pomarzyć. Skoro dogadamy się z delfinami, być może nauczymy je naszej — polskiej, angielskiej czy innej mowy. W naszych uniwersytetach, obok katedr uczących obcych języków, powstaną katedry delfinistyki.

Oj, co to wtedy będzie! Ileż pytań z obu stron! Ja tylko obawiam się jednego pytania ze strony delfinów:

— Dlaczego między wami, ludźmi, wciąż tyle wojen?

Na pewno nie znajdziemy na to pytanie żadnej mądrej odpowiedzi, natomiast zarumienimy się ze wstydu, jak źle bawiące się dzieci.

Franciszek Kobryńczuk

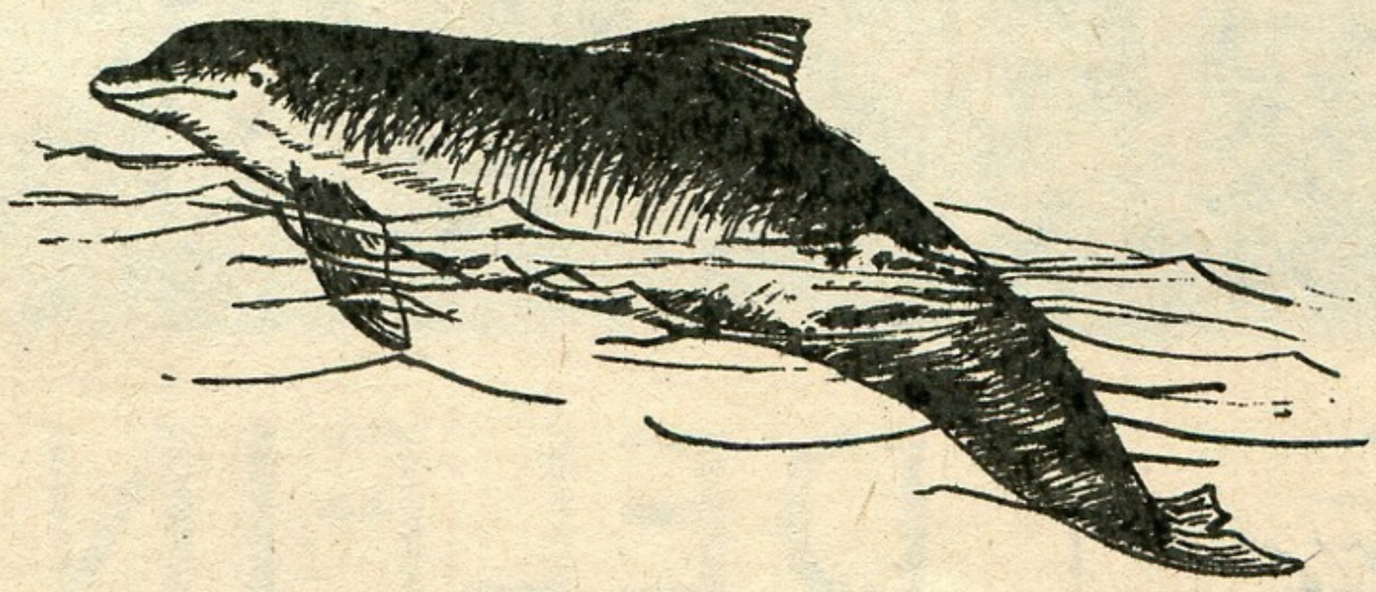

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej
Opracowanie graf. numeru — Ewa Marszał-Demianiuk

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 1855/ A-7

Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

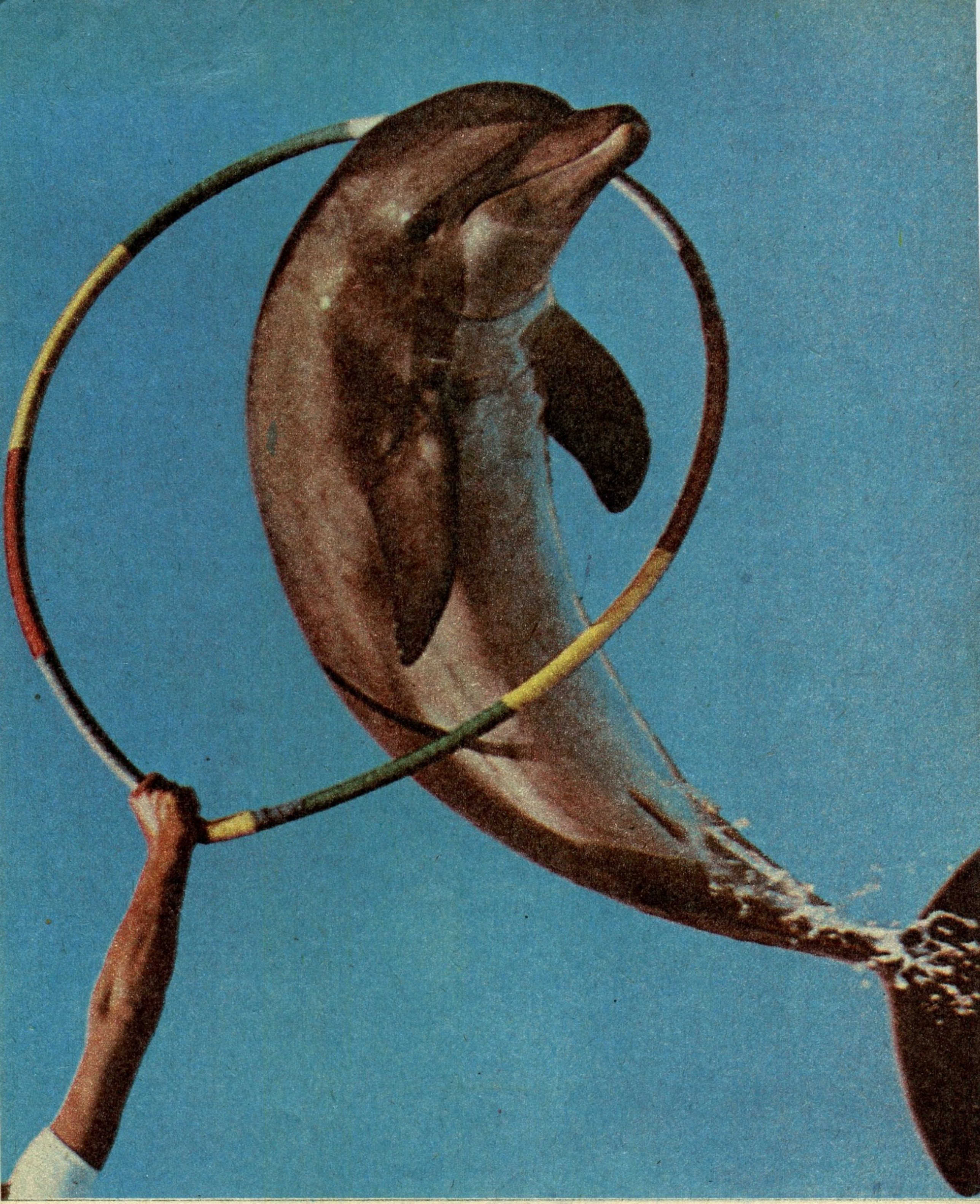

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

DELFIN

CENA 20 ZŁ